



Studencki Klub Górski <http://www.skg.uw.edu.pl>

Numer 28 Wiosna
31 maja 2014



Słowo od redaktora

Drodzy Czytelnicy! Przychodzi mi oddać w Wasze ręce wiosenny numer Biuletynu Studenckiego Klubu Górskiego. Tym razem w klubowej gazecie znajdziecie między innymi arcyciekawą wywiad z Katarzyną Pawlak - tłumaczką przysięgłą języka chińskiego, którego tematem jest Państwo Środka, opis zeszłorocznej alpejskiej eskapady naszych klubowiczów, klimatyczne "wspominki" poetyckie i relacje, wśród których zamieściliśmy niepublikowany tekst Joanny Sznigir sprzed kilku lat. Pozostałe artykuły są dziełem zespołu redakcyjnego w składzie:

- Grzegorz Kaczmarek - Redaktor Naczelny
- Stanisław Mierzwiak
- Stefania Ambroziak - Zastępczyni Redaktora
- Michał Wangrat
- Magda Bojarska
- Wystąpili gościnnie, mam nadzieję że nie po raz ostatni ;-)
- Julia Czerniuk
- Magdalena Czarnecka
- Agata Korzeniewska
- Małgorzata Grabowska
- Ewelina Różańska
- Józia Święcicka
- Grzegorz Bokota
- Marek Paleski
- Damian Dąbrowski
- Maciej Szuba
- Kacper Gierlach



Spis treści

Z Życia Klubu	4
Kalendarium	4
Z pamiętnika kursanta	6
Medykówka	6
Z wiosennego...	7
Z pamiętnika kursanta XXXIII KPG	7
Wiosenne XXXIII KPG	8
SKG na świecie	10
Hrabia na traktorze	10
"Jesteśmy na wczasach w tych góralskich lasach..."	12
Ewelinówko-Tatrówka 5-6.04.2014	14
Ośmioro zapaleńców i zew przygody	17
Jak to drzewiej bywało	19
Dziesięciolecie	19
Ludzie gór	20
Paryżanka w Lhasie	20
W cztery oczy	21
Chiny mniej znane	21
Czy wiecie, że...	23
Siekierzada	23
Trasy nie tylko na wczasy	24
Góry Tokajsko-Słańskie	24
Poradnik Wędrowca	25
Nawet najdłuższa droga zaczyna się od włożenia skarpetek	25
Kora Brzozowa	25
Poradnik trapera	26
Z szuflady Wagabundy	28
Piosenka z Przeszłości	28
N.N.	28
Kącik literacki	29
Porta Rusica	29
Co przed nami	31
Akcja Lato - Reaktywacja	31

Kalendarium

Ewelina Różańska

Śniegi dawno już stopniały, więc warto przypomnieć sobie, co działo się w Klubie od końca zimy. . .

Radosny czas karnawału zakończył się w SKG hucznie na corocznej imprezie przebieranej zwanej Karnawałówką. Na noc z 1. na 2. marca mieszkanie Agaty zamieniło się w Półwysp Apeniński, bo impreza przebiegała pod hasłem *Ciao Italia!* Goście przybyli z najróżniejszych rejonów włoskiej czasoprzestrzeni. Zjawili się elegancyści mafiosi z wytwornie ubranymi kobietami, kucharze, piłkarze, turyści, flaga, pizza, a nawet człowiek-makaron. Jak świerk wysoki Tomek K. owinął się w żółtą budowlaną rurkę. Jednak największą furorę zrobili Stefi i Adam Yeti, którzy zaprezentowali się jako papieżyca i papież. Podbili nasze serca i okazali się bezapelacyjnie wygrali konkurs na najlepsze przebranie. Miał też miejsce epizod ze sklepem, gdzie Yeti został wzięty przez panią starszą za faktycznego następcę Stolicy Piotrowej – *Czy ojciec jest tym papieżem?*



Wielki Post nie był bynajmniej smutnym czasem w Klubie.

W weekend 15-16 marca odbyła się Medykówka, czyli kurs medyczny poprowadzony dla kursantów przez niezastąpioną Harcerską Grupę Ratowniczą Bemowo. Tradycyjnie jako miejsce szkolenia posłużyła im zaprzyjaźniona szkoła podstawowa w miejscowości Dalekie-Tartak w sercu Puszczy Białej.



22 marca rozpoczął się sezon rowerowych wyjazdów organizowanych przez Grzesia Kaczmarka, ukrywającego się

pod pseudonimem Samotnego Odyńca. Skoro świt ekipa rozpoznawcza złożona z Gosi Rukasz, Eweliny Różańskiej, Pawła Nowakowskiego i przewodnika Grzesia Kaczmarka pojechała pociągiem do Nasielska, z którego ruszyła bardzo malowniczą trasą wzdłuż wstęgi Wkry, pośród pól, lasów i łąk do Ciechanowa. 80 kilometrów na początek to całkiem niezły przebieg, fajne tempo, pogoda jak zamówiona, ekipa pierwsza klasa!

Rowerówki z Grzeskiem to gwarancja świetnie spędzonego weekendu - więcej o nich na str. 31.

W ten sposób rozpoczęliśmy cykl co-weekendowych rowerówek. Poza trasą grupy rozpoznawczej Grześ poprowadził jeszcze 3 wyjazdy pokonując odległość z Ciechanowa do Mławy, następnie z Mławy do Nidzicy oraz w pełnym jezior rejonie Działdowa. Rowerówki z Grzeskiem to gwarancja świetnie spędzonego weekendu! Więcej o nich na str. 33.

Rajd Wielkanocny przebiegał w tym roku w dniach 5-6 kwietnia w urokliwym Beskidzie Małym, po którym wędrowały 4 grupy prowadzone przez przewodników SKG. Trasa *POGOSZuj wiosną w Małym* - pod przewodnictwem Gosi Staroń, *„Zielono mi” czyli arbuzowa trasa* - Karola Bijosia, *Tu w Beskidzie wiosna idzie* - z Marcinem Bruzdą oraz *Powitaj wiosnę z Yetim* - z Adamem „Yetim” Cieślikiem. Wszyscy spotkali się na ześrodkowaniu w Chacie pod Potrójną, gdzie - jak napisał Karol w zapowiedzi swojego wyjazdu - *wszystkiego będzie oczywiście potrójnie więcej - wrażeń, atrakcji, zabawy, no i oczywiście jedzenia*. Chyba nie trzeba lepszej zachęty, żeby pojechać na rajd w góry z SKG!

Mini ścigant w Beskid Sąddecki w dniach 11-13 kwietnia to rajd Maćka Warchałowskiego. Jak nazwa wskazuje, był to wyjazd krótki, lecz bardzo treściwy. Dwuosobowa ekipa ekspresem przeszła od zachodnich granic Beskidu Niskiego aż po Radziejową w Sąddeckim.

Równolegle do Maćkowych wyczynów, na pograniczu polsko-słowackim w weekend 12-13 kwietnia kręciła się podejrzana grupka ludzi z plecakami, o których chodzą słuchy, że noc nie służy im do spania, a do wędrowania po górach. Byli to kursanci na tzw. dodatkowej kursówce przed wiosennym, którzy pod okiem Michała Bekeya i Jędrka Witkowskiego ćwiczyli swoje umiejętności topograficzne w rejonie Tylawy, Niżnego Komarnika i Jaślisk.

Polary czerwone jak krew 16 kwietnia to pierwsza odsłona akcji wspólnego oddawania krwi w Centrum Krwiodawstwa na Saskiej przez przewodników SKG, klubowiczów i wszystkich chętnych, zorganizowana przez naszego przewodnika Maćka Szubę.

Tego samego dnia świętowaliśmy klubowe jajeczko w nieco zmienionej formie, bo opuściwszy uczelniane mury, poszliśmy na praski brzeg Wisły i rozpaliliśmy ognisko z drzewa przyniesionego przez SKGowców jako bilet wstępu na imprezę. Konkurs na najdalej przrzucane między sobą surowe jajko wygrała Paulina Kocot w parze z Michałem Stachurą. Nie obyło się bez gara herby, ugotowanych w garze jajek, którymi się następnie symbolicznie podzieliłiśmy oraz gluta, czyli gara kisielu z bogatą wkładką

bakaliowo-jabłkową.



Ledwo skończyły się święta Wielkiej Nocy, a nieustraszeni kursanci i równie dzielni instruktorzy – Michał Bekey, Michał Strzelec Strzelczyk i Maciek Szuba – ruszyli na podbój Beskidu Niskiego i zachodnich rubieży Bieszczad. Od 26 kwietnia do 3 maja 11 kursantów poddanych było próbie ich sił fizycznych i psychicznych w konfrontacji ze światem podczas pierwszego egzaminu praktycznego na XXXIII Kursie Przewodników Górskich. Więcej o przedzieraniu się przez chaszcze, zdobywaniu pipantów, robieniu buraków, łojo- i garodobie oraz psie Ciniaku na str. 7-9.

W dniach 1-4 maja Michał Pluta poprowadził rajd pod kryptonimem Gorce-Pieniny, który odbył się de facto w Beskidzie Sądeckim i Niskim. Malownicza trasa wiodła od Piwnicznej Zdrój po Gorlice.

Wspominając majówkę nie sposób pominąć spontanicznej wyprawy Trójki Wspaniałych, czyli Przemka, Sebastiana i Janusza na Mont Blanc. Flaga SKG z dumą prezentowała się na szczytach kilku czterotysięczników, jednak na dach Europy przyjdzie jej jeszcze poczekać za-

pewne do lata. Kiepska pogoda przeszkodziła chłopakom w zdobyciu upragnionego szczytu, jednak na pewno nie odebrała im apetytu na tę górę. Życzymy powodzenia!



Każda okazja jest dobra, żeby się spotkać, a szczególnie, gdy kursanci są świeżo po wiosennym i Maluch zaprasza na swoją działkę. 9 maja tłumnie więc odwiedziliśmy Maluchowy skrawek zieleni na Saskiej Kępie - *tajemnicze miejsce owiane dymem z grilla i sztuką relaksu na hamaku*.

W niedzielę 18 maja reprezentacja Studenckiego Klubu Górskiego w osobie Maćka Szuby wzięła udział w XIII Cracovia Maraton, osiągając metę z czasem 3 godziny 31 minut i 32 sekundy, co dało 195 miejsce w kategorii wiekowej i 987 w klasyfikacji generalnej na ponad 6000 uczestników biegu. Koszulka XXXII Kursu SKG dumnie przebyła 42 kilometry i 195 metrów! Gratulacje!

Poza tym slajdowi goście zabrali nas tej wiosny na Islandię i duńskie Wyspy Owce, szczyty Śnieżnej Pantery, w Andy, na Nową Zelandię i Mt. Everest. A co-środkowe SKGowe spotkania na piwie w klubokawiarni Eufemia i Grawitacja działają bardzo prężnie dzięki Pawłowi Nowakowskiemu, który na klubowym forum aktualizuje wszystkie niezbędne informacje. Serdecznie zapraszamy!



Medykówka

Damian Dąbrowski

W sobotę 15. marca o poranku zaspane kursanty zebrały się na Dworcu Warszawa Wileńska. Powodem zbiórki był wyjazd do znanej i lubianej wsi Dalekie-Tartak, gdzie odbyć się miała tegoroczna medykówka. Ludzi na dworcu jakby mniej, niż na liście uczestników... Ach, przecież jest jeszcze nieustraszona ekipa rowerowa, która, wzgardziwszy PKP, już od ponad dwóch godzin zaciekle pedałuje w stronę Dalekiego. Miejmy nadzieję, że mimo zacinającego deszczu oraz dmącego wiatru jakoś przejadą te 80 km.

Do szkoły w Dalekim dotarliśmy bez większych przygód. Po chwili dołączyli do nas instruktorzy z Harcerskiej Grupy Ratowniczej „Bemowo”, którzy pod szkołę zajechali swoją wypasioną karetką. W jakiś czas później dotarli do nas spóźnialscy. Przemoczeni i zmachani Michał Wangrat, Paweł Nowakowski oraz Marek Paleski też się dotoczyli.

Po godzinie 12 zaczęły się zajęcia – omówiliśmy ogólne informacje na temat pierwszej pomocy, łańcuch przeżycia oraz zabezpieczenie miejsca zdarzenia. Aby to ostatnie zobaczyć w praktyce wyszliśmy na dwór, gdzie miał miejsce pozorowany wypadek drogowy. Po przeanalizowaniu kolejnych czynności koniecznych do zapewnienia bezpieczeństwa odbyły się ćwiczenia z wyciągania poszkodowanego z samochodu. Szczególnie wiele radości przysporzyli nam drobna Asia z potężnym Pawłem – po wyciągnięciu Pawła z samochodu, Asia bez pardonu upuściła go na asfalt. Ten z pełnym impetem wylądował na tyłku, co przyjął z właściwym sobie stoicyzmem.



Zdjęcie: HGR Bemowo

Po powrocie do szkoły zjedliśmy obiad, który składał się z makaronu, czosnku, szpinaku, czosnku, sosu, czosnku, żółtego sera, czosnku, cebuli oraz czosnku. Był smaczny i, ku powszechnej wesołości, bardzo czosnkowy. Mimo masowej akcji mycia zębów, charakterystyczny zapach towarzyszył nam jeszcze długo.

Nadszedł ciąg dalszy zajęć teoretycznych. Powszechne poruszenie powodowały drastyczne zdjęcia przedstawiające rozmaite urazy i obrażenia, o których opowiadali instruktorzy. Jak to powiedział jeden z nich – lepiej, żebyśmy

po raz pierwszy zobaczyli to na zdjęciu, niż w prawdziwym życiu. Bardzo ciekawym zabiegiem było też pokazanie nam fragmentów programu „Bondi Rescue” – australijskiego serialu dokumentalnego o ratownikach z plaży Bondi. Dzięki temu można było zobaczyć przebieg autentycznej akcji ratunkowej, jak wygląda faktycznie udzielanie RKO (ta uginająca się klatka piersiowa...) itd.

Teoria teorią, ale na fantomie też trzeba się trochę poznęcać. W związku z tym instruktorzy przygotowali dla nas również zajęcia praktyczne, na których mieliśmy okazję przećwiczyć omawiane wcześniej czynności. Po około godzinie znowu zebrał się w świetlicy i tam aż do 20 słuchaliśmy, co jeszcze się w człowieku może zepsuć i co my możemy na to poradzić. Dalej – kolacja. Wyborne grillowane kielbaski z delikatną nutą węgla mile polećtały wszystkie podniebienia, a po nich przyszedł czas na chwilę wytchnienia, luźnych rozmów i przysypiania po kątach. Jednak nie na długo!

Instruktorzy zaaranżowali dla nas pozorację wypadku samochodowego. W trzech zespołach ruszyliśmy na pomoc, jednak bardzo szybko w zapomnienie poszło, kto jest z kim w ekipie. Początkowy chaos i szamotaninę ogarniał Tomek K., który przejął dowodzenie nad akcją ratowniczą i zajął się szeroko pojętym zarządzaniem. Dość szybko wykryły się grupki zajmujące się konkretnymi poszkodowanymi i stopniowo sytuacja się ustabilizowała. Po około 20 minutach było już po wszystkim i z szerokimi uśmiechami wracaliśmy do szkoły.

Tam nastąpiło omówienie. Zdumione kursanty nie mogły uwierzyć swoim uszom. Przyzwyczajeni do szorstkiej niczym papier ścierny miłości instruktorów SKG ze zdumieniem słuchaliśmy bardzo pozytywnych opinii wypowiedzianych na temat przebiegu pozoracji. Oczywiście nie obyło się bez większych czy mniejszych potknięć, ale w ogólnym rozrachunku – świetnie się spisaliśmy. Humory jeszcze bardziej się poprawiły. Tak dobiegła końca część oficjalna pierwszego dnia medykówki. Po niej przyszedł czas na integrację ratowniczo-kursancką, która przyjęła formę zarówno bardzo żywiołowej gry w Prawo Dżungli, jak i rozmów do późna w nocy.

W niedzielę po śniadaniu miały miejsce ostatnie dwa wykłady. Zaraz po nich wyszliśmy na dwór i zaczęły się warsztaty z przenoszenia poszkodowanych. Instruktorzy pokazali nam wiele osobliwych technik, m.in. na strażaka, na randkę, na wielbłąda, na barana... Radości było co niemiara i zewsząd dobiegały przerażone piski podnoszonych osób. Jako wielki finał odbyły się zawody w zespołowym przenoszeniu na czas, w których aby wygrać należało wykazać się zarówno tężyzną fizyczną, jak i zmysłem strategicznym.

Tym samym niestety zakończyła się medykówka. Po cyknieciu pamiątkowych zdjęć oraz wysprzątaniu szkoły opuściliśmy Dalekie-Tartak. Wszyscy zgodnie orzekli, że wyjazd udał się fantastycznie – podpisuję się pod tym rękami i nogami. ■

Z wiosennego...

Ewelina Różańska

Poroże

Wiadomo nie od wczoraj, że wiosenne nie jest wyjazdem nastawionym na wypoczynek i rekreację, lata świetlne dzielą go od opcji all-inclusive, a swoją specyfiką chyba najbardziej przypomina szkolenie kosmonautów przed pięcioletnią misją NASA na Plutonie. Ale zdarzają się i przyjemne chwile jak choćby poniedziałkowy poranek na północnym grzbiecie Ruskiej Góry (583 m n.p.m.). Po całonocnej batalii z zawilościami Jawornika, przedzieraniu się przez krzaki i pnącza jeżyn, oraz zdobywaniu pipantów wychodziliśmy z lasu ku rozległej polanie, na której zastał nas piękny wschód słońca. Ale jeszcze przed nastaniem świtu maszerując gęsiego przez las, Maciek schylił się nagle i podniósł ze ścieżki zdeptaną przez kilka idących przed nim osób gałąź. Ta jednak okazała się najprawdziwszym porożem jelenia! Stałam już na owej polanie, gdy z lasu wydobył się bardzo specyficzny okrzyk, nie przypominający dźwięku wydawanego przez zwierzęta. To Maciek cieszył się jak szalony z niezwykłego znaleziska. Domyśliłam się od razu, o co chodzi, bo sama mam marzenie, żeby natrafić na coś takiego. I wyobraźcie sobie, że w tym momencie zapragnęłam tego tak bardzo, (i nie ukrywam – trochę Maćkowi pozazdrościłam tego poroża), tak mocno wyteżyłam swoją wolę, że i mi udało się znaleźć poroże jelenia! Coś szpiczastego i brązowego wystawało ponad trawami, więc podbiegłam... i już było moje! Zaczęłam cieszyć się jak dziecko i skakać ze szczęścia. Okazuje się, że nawet na wiosennym marzenia się spełniają. Może to był czysty fart, że akurat ja pierwsza spojrzałam w tamtą stronę. A może faktycznie siła woli jak i wiary potrafi góry przenosić? Coś mi się zdaje, że jeszcze nie raz przyjdzie mi się o tym przekonać.

Space Trekkers

Będzie to pieśń pochwalna na cześć Malucha, która przeprowadziła nas całych i zdrowych przez trudy manewrów górskich.

O Maluchu!

Przeprowadziłaś nas przez ciemności nieprzeniknione,

Wlądaś w nasze serca otuchę,

Nie dopuściłaś, by hańbą okryło się nasze nazwisko,

Chwała Ci za to!

Na manewrach trafiła nam się bardzo fajna trasa. Czołnuś pod Łopiennikiem, przerwa na lody w Cisnej, pamiętny zachód słońca na Hyrlatej. Lecz gdy zapada zmierzch, człowiek się zmienia. Brak promieni słonecznych niekorzystnie wpływa na aktywność jego organizmu, szczególnie jeśli ma do przejścia jeszcze dwadzieścia gotów po górach. Przez cały dzień szłam ochoczo, dotrzymując kroku Magdzie Wierzbickiej i Grzesiowi Kaczmarkowi. Ale gdy słońce schowało się za górami, momentalnie opadłam z sił. Nie byłam w stanie powstrzymać zamykających się powiek! Przez 6 godzin – od zejścia z Hyrlatej do bazy w Rabem – snułam się za Maluchem i Grzeskiem jak żywy trup. Żartowali sobie później ze mnie, że zrobiłam więcej gotów niż oni, bo szłam zygzakiem. Tu i teraz pragnę złożyć największe wyrazy szacunku dla Malucha nie tylko za to, że nas szczęśliwie doprowadziła do bazy, bo trzeba podkreślić, że to ona objęła prowadzenie przez całą noc, ale i za to, w jakim stylu to zrobiła. Myślałam z podziwem o jej nerwach ze stali i jasności umysłu, jaką zachowała do samego końca, o maksymalnym skupieniu na celu i walce z własnymi słabościami. Dzięki Ci za to, Maluch. Jesteś wzorem do naśladowania.

Myślę Grzesiu, współuczestniku tej przygody, że zgodzisz się ze mną? :-)

Z pamiętnika kursanta XXXIII KPG

Wiosenne to najbardziej wyczerpujący fizycznie i psychicznie wyjazd na jakim byłam, a jego trud kontrastuje z przepiękną scenerią majowego Beskidu Niskiego. Z tegorocznego przejścia najsilniej zapamiętałam psa Ciniaka, który się z nami włączył przez kilka dni i z którym to się utożsamiałam, szczególnie z jego bez troską, ufnością, chęcią przeżycia przygody i doświadczenia wolności. Żywot Ciniaka był dla mnie metaforą mojego życia, tym trudniej było mi patrzeć na jego nieprzystosowanie do okrutnego świata pędzących samochodów, bowiem nie rozumiał on funkcjonowania szosy, biegał środkiem jezdni i nie reagował na gwałtownie hamujące samochody.

Magda Cz.

Przejście wiosenne to było coś, czego naprawdę było mi trzeba. Nie pamiętam, kiedy ostatnio prowadziłam tak specyficzny tryb życia. Niesiesz na grzbiecie cały swój dom, jak zacznie padać, to nie masz gdzie się schować, obiad sam na stole się nie pojawi, a 2h snu na dobę to łaska, za którą należy być wdzięcznym niebiosom - instruktorom :). To wszystko tak mocno odcisnęło się w mojej świadomości, że zapamiętam to na pewno na długo. Moim zdaniem było super i mam nadzieję, że jeszcze nie raz taka przygoda, w takim znakomitym towarzystwie, mnie czeka :)

Marek

Wiosenne XXXIII KPG

Odwiedzając stare kąty

Grzegorz Bokota

Wspomnienia te piszę z perspektywy kursanta, który, z wyroku instruktorów dwa razy podchodził do tego egzaminu. Za drugim razem z większym powodzeniem.

Na wiosenne, jako kursanci pojechali: Grzegorz Bokota, Magdalena Czarnecka, Kinga Dopierała, Grzegorz Kaczmarek, Aleksandra Kołodziejczyk, Paweł Nowakowski, Marek Paleski, Ewelina Różańska, Michał Stachura, Michał Wangrat i Magdalena Wierzbicka. Egzaminowali nas Michał Bekey, Michał Strzelczyk, Maciek Szuba.

Późnym piątkowym wieczorem zebraliśmy się na dworcu Warszawa Zachodnia, by wyruszyć w niezapomnianą podróż. Jak się okazało, tym samym autobusem jechał również kurs z SKPB. Droga minęła nam bez większych zakłóceń, tylko w momencie przesiadki musieliśmy wyjąć nasze plecaki spod masy obcych bagaży. O świcie dotarliśmy do bajecznie pięknego Iwonicza Zdroju. W trakcie śniadania podszedł do nas miejscowy przewodnik z długim jak jego broda stażem i schowaną pod pachą maczetą. Ta nietuzinkowa postać opowiedziała nam wiele ciekawych historii, m.in. o swoich bojach z leśnikami i znakowaniu pewnego szlaku.



Najedzeni i podniesieni na duchu wyruszyliśmy w stronę Bałucianki. Nim tam dotarliśmy, zaliczyliśmy wykład z geodezji autorstwa Magdy Wierzbickiej „Malucha”. Niedługo potem przyszła pora na pierwszą „panoramę”. W jej czasie wiało tak mocno, że niektórzy kursanci w oczekiwaniu na swoją kolej, owijali się mapami, aby było im choć trochę cieplej. Gdy już wszyscy zostali odpytani przystąpiliśmy do trawersowania zbocza. Odwiedzając kilka jarów i zaminowane pastwisko, dotarliśmy pod cerkiew w Bałuciance. Gdyby nie informacja z przewodnika, można by uznać, że cerkiew postawiono kilka lat temu. Tak to jest, jeśli po wielu latach zaniedbań, odbywa się kompleksowy remont. W cerkwi zobaczyliśmy piękny ikonostas, niestety przed kilkoma laty okradziony z ikony Matki Boskiej. Następnie wyruszyliśmy w kierunku ulubionej kursantkiej góry, czyli Jawornika. Już na podejściu na pierwszy szczyt Działu pokazało się zjawisko, które kilka razy

pomieszało szyki instruktorom. Był to nowy szlak widoczny tylko na najnowszych mapach. Mając tak oznaczoną drogę szybko dotarliśmy pod Jawornik, a przecież każdy wie, że z tej góry najlepiej schodzić nocą. W tej sytuacji instruktorzy obdarowali nas dwiema godzinami snu.



Szczyt znaleźliśmy łatwo. Po niezbyt długim boju udało się wyrwać spod czaru Jawornika i wyruszyliśmy na południe w stronę Ruskiej Góry. Ta noc była owocna w znaleziska. Najpierw Maciek Szuba znalazł pierwsze poroże jelenia. Niedługo potem, już nad ranem, Ewelina znalazła drugie poroże. Przez chwilę mieliśmy nadzieję, że należały one do tego samego osobnika, ale oba były lewe. Po osiągnięciu celu, skierowaliśmy się dalej na południe, przez szczyty Popielak i Debrz. Tam przez miejsce, będące świadkiem, zeszłorocznych, krwawych wydarzeń przeprowadził nas nie kto inny jak Grzesiek Kaczmarek, który poznał nawet drzewo przy którym „strzelił sobie w kolano”¹. Po ponad 30 godzinach dotarliśmy na miejsce dłuższego odpoczynku pod pipantem 701. Mniej więcej wtedy Michał Bekey zmienił zasady gry. Od tej pory kursant prowadzący nie mógł powiedzieć grupie, dokąd idziemy i jakie jest nasze położenie. Reszta ekipy była regularnie pytana o pozycję. O zmroku powędrowaliśmy dalej, aż dotarliśmy na polanę pod szczytem 654. Tam, korzystając z czystego nieba, Maciek uraczył nas wykładem o gwiazdozbiorach. Niestety nic co piękne nie może trwać wiecznie. Dalej nasz szlak powiódł na Kanasiówkę. Na podejściu na tę górę Michał Wangrat wygłosił świetny referat o Łemkach, który wszyscy wysłuchali z zapartym tchem. Po przejściu przez szczyt, idąc wzdłuż granicy, skierowaliśmy się na Wielki Bukowiec. Na swojej drodze natknęliśmy się na pomnik upamiętniający przekroczenie granicy w Karpatach przez Korpus Czechosłowacki w czasie drugiej wojny światowej. Trafiliśmy także na stare, przekuwane słupki graniczne oraz kilka pamiątek z roku 1944. Na Bukowcu zastaliśmy samotny namiot tuż przy wieży widokowej. Niestety nie zatrzymaliśmy się przy niej i zaczęliśmy schodzić

¹Wyeliminował się z poprzedniego przejścia wiosennego niechący wbijając sobie siekierę w stopę. Na szczęście z odsieczą przybył helikopter.

ze szczytu bocznym grzbietem, na którym natknęliśmy się na drzewa o fantazyjnych kształtach. Dało się m.in. rozpoznać smoka i dwa miśki. Po posiłku i przemierzeniu zrytego pociskami i okopami grzbietu powędrowaliśmy na Majkowski Wierch. Odbyła się tam długa, trzygodzinna panoramka, w czasie której wszyscy opaliliśmy się nie gorzej niż pod piramidami. Do opuszczenia szczytu zmusiła nas nadciągająca z Bieszczad burza. Zeszliśmy do Dołżycy, gdzie przygarnął nas miejscowy gospodarz.



Gdy się wypogodziło, wyruszyliśmy na Szczendrowiec. Na jego zboczach instruktorzy wyznaczyli nam kolejny nocleg. Trochę padało, ale nie mogę powiedzieć, żebyśmy przemokli do suchej nitki. Niestety, na południe od szczytu są rozległe łąki, po których marsze załatwiły nasze buty. Ponieważ kierowaliśmy się nie tam, gdzie myślała większość kursantów, to do głowy same przyszły mi słowa piosenki z poprzedniego numeru.

*Mokro w butach, ciemno w lesie,
Diabli² wiedzą, gdzie nas niesie.
Wszystko śpi na całej ziemi,
A my jeszcze się wleczeni...*

Gdy byliśmy blisko celu, prowadzenie dostał Paweł Nowakowski, który przywitał nas słowami „A teraz zabiorę was w niezapomnianą podróż”. Moc tych słów zrozumie tylko ten, kto miał przyjemność widzieć go w akcji.

Po zejściu w dolinę, trasa nie była zbyt ciekawa. Wspomagając się elementami infrastruktury, poszliśmy na Krasną i dalej przechodząc brodem Oslawę do Mikowa w upale drogą dotarliśmy do bazy w Rabem. Od zeszłego roku trochę się tam zmieniło. Wycięto okoliczne chaszcze i postawiono nową chatkę. Trwały prace przy wznoszeniu kolejnej konstrukcji, której przeznaczenia nie mogliśmy odgadnąć.

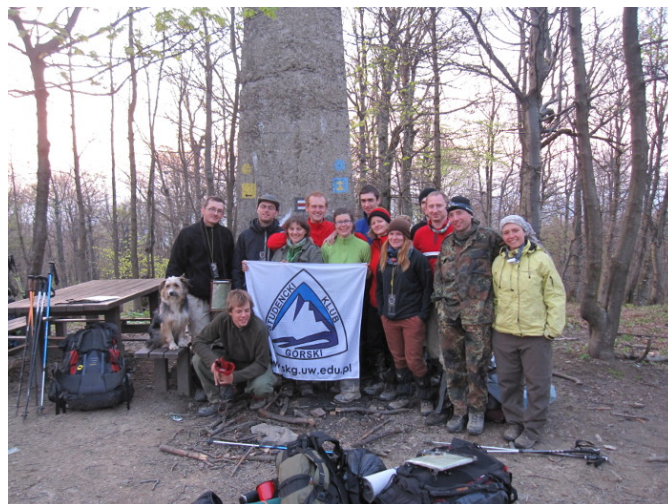
I oto nastał Dzień Manewrów. Nie będę się nad nim specjalnie rozwodził. Polecam wszystkim widok ze szczytu Korbani. Jest to idealne miejsce do podziwiania wschodu słońca. Z kolei przełęcz Hyrcza, położona na południowy zachód od tego szczytu, to świetne miejsce na nocleg. Drugie wspomnienie, którym chcę się podzielić, jest związane z tym, że manewry odbywały się głównie 30 kwietnia i w związku z tym z grzbietu Wołosania można było zobaczyć zupełnie zakorkowane drogi dojazdowe do Cisnej. Po manewrach okazało się, że dwie z pięciu grup nie potrzebowały pełnych 24 godzin na pokonanie swoich tras.

²Przypominam, że instruktorzy noszą czerwone polary.

³Instruktor miał go na mapie gdzieś indziej niż reszta!

Przebyły je odpowiednio w 19 i 21 godzin. Razem z wracającymi z manewrów Pawłem i Markiem dotarł do nas pies, ochrzczony imieniem Ciniak, który towarzyszył nam do końca wyjazdu. Grupa zbiorowo przygarnęła go, nie zastanawiając się, co będzie gdy wsiądziemy do autobusu. A była to bardzo pocieszna psina, która chodziła tylko grzbietami.

Nad ranem nastąpiła wymiana instruktorów. Opuścił nas Michał B. a zastąpił go Michał „Strzelec” Strzelczyk. Odwiedził nas na jeden dzień Maciek Warchałowski.



Po manewrach powolnym marszem ruszyliśmy na Chryszczatą, gdzie cykneliśmy sobie serię zdjęć z klubowa flagą. Ze szczytu skierowaliśmy się na północ. Tropem żubrów przeszliśmy przez Morgań, Huczek³ i Gawgań. Na jego północnych zboczach mieliśmy krótki odpoczynek na sen, z którego zostałem gwałtownie wyrwany. Po drodze na której spałem, jechał ciągnik... Była, to najszybsza pobudka, jaką pamiętam na wyjazdach kursowych. A ci, którzy mnie znają, wiedzą, że nie budzę się łatwo. (Dodajmy, że był to także dowód na istnienie syndromu Stachury, który głosi, śpij wszędzie byle nie na drodze). Niedługo po postoju obaj Macieje, Szuba i Warchałowski, opuścili nas. Jak się w przyszłości okazało, jeden z nich do nas powrócił. Przeszliśmy przez Gabrów Wierch na grzbiet Lisowca. Następnie zeszliśmy grzbietem do mostu w Zachocze-wiu i skierowaliśmy się na Pańskie Horbki. Na ich stokach mieliśmy ostatni krótki postój, na którym mogliśmy się przespać. Na półgodziny przed planowaną pobudką rozpadało się. Tylko trzy osoby wcześniej rozłożyły namiot, więc reszta skuliła się pod drzewami. Ten deszcz, już mniej intensywny, nie opuścił nas prawie do końca wyjazdu.

Po zdobyciu Pańskich Horbek, „trochę” błędząc, weszliśmy na Patrolę. Dalej zahaczyliśmy o Szczub i i po pewnych perturbacjach trafiliśmy na grzbiet biegnący na północ, którym zeszliśmy do Średniej Wsi. Tutaj „złapaliśmy za ogon” PKS do Sanoka, gdzie na dworcu dotarł do nas uśmiechnięty Maciek Szuba. Następnie poszliśmy do pizzerii Alibaba, gdzie najedliśmy się i kolejno wysłuchiwaliśmy opinii instruktorów. Przejście zaliczyli: Grzegorz Bokota, Aleksandra Kołodziejczyk, Marek Paleski, Ewelina Różnańska, Michał Stachura, Michał Wangrat i Magdalena Wierzbička. Bez manewrów pokonaliśmy około 130 gotów. ■

Hrabia na traktorze

Obrazki z głębokiej Francji

Józefina Świącicka

„Po pierwszych 24 godzinach spędzonych we Francji czuję, że mogę wyrzucić na śmietnik wszystko, co, jak mi się zdawało, „wiem” o tym kraju i ludziach go zamieszkujących. Jak na razie, zgadza się jedna rzecz: kolejność danie – ser – deser przy posiłku. A reszta... jest szokiem.”

Tak pisałam 1 sierpnia tego roku, tuż po przyjeździe do Francji jako „fille au pair”, co w wolnym tłumaczeniu najlepiej oddać jako „dziewczę – pomagier”. Przez półtora miesiąca miałam mieszkać z zupełnie nieznaną mi rodziną w sercu rolniczej Burgundii. Pomimo bycia studentką romanistyki do Francji miałam stosunek obojętny, a mieszkańcy tego kraju wzbudzali we mnie zastrzeżenia podejrzliwość jako przedstawiciele „zgniętego Zachodu”.



Przyjechałam do kraju laickiego, a zastałam tam ludzi, których zaangażowanie w wiarę graniczyło z dewocją. Tam, gdzie spodziewałam się zastać społeczeństwo w stanie rozpadu, przywitały mnie rodziny wielodzietne. W stolicy światowej gastronomii karmiono mnie makaronem i warzywami z mrożonki. Do tego wcale nie piliśmy wina.

Światowa stolica gastronomii

Przed wyjazdem przeczytałam dość powierzchowną książkę dotyczącą francuskiego stylu życia⁴. Powinno być raczej napisać – PARYSKIEGO stylu życia, bo doświadczenia autorki ograniczały się do życia z mieszkańcami stolicy. A we Francji, tak jak i w Polsce – wewnątrz kraju bardzo się różni od stolicy. Wracając do książki, zapamiętałam z niej zwłaszcza to, że:

- Francuzi nigdy nie podjadają między posiłkami,
- domowe ciasto co wieczór to punkt honoru pani domu,
- dewizą kuchni dla przeciętnego Francuza jest świeżość i jakość.

Pewien „obyty” znajomy dorzucił mi jeszcze, że nie jest w dobrym tonie brać dokładkę. Jechałam więc z myślą: Oto i zobaczę prawdziwą kulturę stołu!

Na pierwszy szok nie musiałam długo czekać. W dniu mojego przyjazdu, zmęczone długą drogą z Lyonu, weszliśmy do kuchni – ja i pani Gospodyni, która była moją opiekunką i przewodniczką przez te półtora miesiąca. Na stole stała skrzynka nektarynek. Gospodyni wzięła sobie jedną i, ociekając sokiem, który wypływał z owocu, w sposób naprawdę mało elegancki i światowy pochyliła się nad zlewem, żeby nie pobrudzić sukienki.

Oto ciąg dalszy moich pierwszych wrażeń:

„Najbardziej przykrą niespodzianką wczoraj było to, że czekałam na kolację jak na zbawienie (po podróży, która trwała 30 godzin i w której żywiłam się niemal wyłącznie kanapkami), a niestety potwierdziło się to, co od naocznych świadków słyszałam o nawykach żywieniowych Francuzów. Przyszedł syn gospodyni, ugotował jajka, do tego makaron, posypał startym serem. Gruyère et voilà! Servez-vous! Do tego bagietka (pomocy! chleb do klusek!), obowiązkowy ser i na końcu po owocu – nektarynce. Dobrze i to. Do picia, rzecz jasna, woda. A syn gospodyni, to te kluski z serem i nawet z masłem jadł! W mitycznej Francji człowiek by się spodziewał czegoś lepszego...”

Choć mieszkaliśmy na wsi, zapomnieć trzeba było o jakichkolwiek „swojskich” produktach. Na naszym stole gościły zwykle: fasolka szparagowa z mrożonki i steki. Wszystko było suche i stało w sprzeczności z tym, czego można by się spodziewać po kraju, w którym wynaleziono tartę i sos beszamelowy.

Złośliwi twierdzą, że ubóstwo składników w posiłkach typowych dla codziennego żywienia zwykłych Francuzów ma związek z wysokimi cenami żywności. Ja usłyszałam od mojego gospodarza inne wytłumaczenie. Kiedy narzekałam, że w Polsce wszystko jest z sosem, a tutaj suche odpowiedział mi, zadzierając nos, że prawdziwie szlachetne produkty należy tak podawać, aby były wyeksponowane. Np. mięso, zamiast przyrządzić z niego esencjonalny gulasz lub potrawkę w stylu azjatyckim, wystarczy rzucić na wrzącą oliwę. Jeśli jest to szlachetny kawałek mięsa, to jego smak będzie przemawiał sam za siebie.

Powiew Średniowiecza

Pan Gospodarz był, jak widać, uroczy w swoim szowinizmie. Miał zresztą powody do dumy nie tylko narodowej, ale i rodowej. Trzeba tu wreszcie odkryć zazdrośnie strzeżoną przed Czytelnikiem do tej pory tajemnicę – moi Gospodarze mieszały w zamku. Ot, takim zwyczajnym, jakich wiele na francuskiej prowincji (to nie jest chwyt retoryczny – jadąc samochodem czy rowerem po drodze „gminnej”, trudno się co jakiś czas na którychś nie natknąć). Opisanej sytuacji pikanterii dodaje niewątpliwie fakt, że był to zamek nad słynną Loarą. Daleko mu było oczywiście do pałaców takich jak najsłynniejsze Chambord czy Azay-le-Rideau. Niemniej jednak miał wszystko, co w potocznym rozumieniu składa się na zamek: cztery wieżyczki, marmurowe klatki schodowe z purpurowymi sznurami

⁴Jennifer L. Scott, *Lekcje Madame Chic*, Wydawnictwo Literackie, 2013

mi zamiast poręczy, etc. Co do duchów, nie wiem, czy były, ale, gdy wchodziłam wieczorem na górę do swojego pokoju, wzrok licznie zgromadzonych tam portretów przyprawiał mnie o lekki dreszczyk. Spacerując po domu, trzeba było od czasu do czasu zerknąć i na sufit – jak to w prawdziwym zamku, stara blacha na dachu przeciekała, a więc odpadał tynk i trzeba było uważać, by czasem nim nie oberwać. W strategicznych miejscach porozstawiane były miski – na trzecim piętrze, w wilgotną pogodę faktycznie padał deszcz w pokojach, a nawet w łazience. Nie zwiedzałam jakoś szczególnie zamczyska (w końcu to cudzy dom, więc nie wypadało tak samopas po nim łązić), ale poznałam z grubsza rozkład pokoi. Dół, przykładowo, zajmowały: kuchnia, w której koncentrowało się życie domu (pełniła ona zarazem rolę magazynu rolniczego, a więc trzeba było uważać, by nie potknąć się o akumulator lub worek z suplementem dla trzody), oprócz tego był też niewielki „zimowy salonik” i trzy salony reprezentacyjne oraz obszerna jadalnia i biuro, w którym odpadające stiuki sąsiadowały z dwoma komputerami i dokumentacją stowarzyszeń rolniczych. W związku z tym, że salony były trzy, gdy gospodyni mówiła mi „proszę odkurzyć salon”, pytałam najpierw: który? Były to trzy pokoje najlepiej utrzymane w całym domu, pewnie dlatego, że najmniej z nich korzystano. Albo odwrotnie – najmniej z nich korzystano, bo były najlepiej zachowane...



Wsi spokojna...

Dostojna sceneria zamku nie przytłaczała nas ani trochę. W „ładnych” pokojach rzadko bywaliśmy. Życie koncentrowało się w kuchni i na dworze. Gospodarz co rano

zakasywał rękawy i ruszał na pole w swym traktorze Massey Fergusson z radiem i klimatyzacją, która działałaby zapewne, gdyby nie to, że wypadła tylna szyba. Można więc było liczyć tylko na naturalny nawiew, przesycony małymi żdźbłami zboża, które dostawały się wszędzie i pod koniec dnia drapały niemilosierdzie. Pozwolono mi oczywiście pojeździć trochę traktorem, ale największą atrakcją dla dziewczyny z miasta okazał się dopiero ubój kury – i to za pomocą zaawansowanego technologicznie sprzętu, który pozwalał (ponoć) maksymalnie zmniejszyć cierpienie ptaka. Zamiast po prostu obciąć mu łeb za pomocą toporka, fundowałyśmy z Gospodynią kurze najpierw szok elektryczny, a potem, gdy już nic nie czuła, wystarczało zgnieść jej mózdzek i umieścić w specjalnej kombinacji lejka z miską, gdzie spokojnie ociekała. Metoda może i byłaby bardziej humanitarna, gdyby nie to, że ani ja, ani pani Gospodyni nie miałyśmy jeszcze specjalnej wprawy w jej stosowaniu, więc biedne kury trzepały nadal skrzydłami po serii nie do końca udanych szoków elektrycznych... Myślę, że bardziej jednak by je urządziła tradycyjna egzekucja.

Rózczką dziateczki Duch Boży bić radzi...

....rózczka zdrowiu nigdy nie zawadzi. Na szczęście za naszego dzieciństwa to powiedzenie dawno już wyszło z mody. W murach wiekowego chateau nadal jednak stosowano stare, dobre metody dyscyplinowania dzieci. Siostrzeńcy Gospodarzy spędzali tam wakacje. Próbowaliśmy wyzyskać ich jako darmową siłę roboczą; niestety, efekty były mizerne. Mogłam jednak napatrzeć się, jak wygląda wychowanie po francusku.

Naczelną zasadą było, że dzieci przy stole mają siedzieć cicho. Sadza się je przy końcu stołu i podaje półmiski dopiero wtedy, gdy już wszyscy „ważniejsi” biesiadnicy nałożą sobie najlepsze kaski. Tworzy to pewien kontrast z rozpowszechnionym u nas traktowaniem dziecka jako ósmego cudu świata. Kary cielesne, wbrew temu, co się mówi o rzekomo „najbardziej cywilizowanych” krajach, też były en vogue. Zdarzało się, że chłopcy dostawali za karę po uszach albo, że byli ciągnięci za włosy. Gospodarz nie szczędził wysiłków, by wyprowadzić swoich młodych krewniaków na ludzi. Dbał też o edukację w dziedzinie zasad savoir-vivre'u. Dzięki temu sporo się dowiedziałam. Może i w opinii moich gospodarzy miałam barbarzyńskie maniery, ale nie ośmieliliby się mnie upomnieć. Mogłam za to skorzystać z instrukcji udzielanych bratankom.

Instrukcja obsługi chlebka

Pomimo braku wprawy w katowskim rzemiośle, kilka kur udało nam się uśmiercić i niedługo potem trafiły one na nasz stół w postaci aromatycznej, ociekającej sosem pieczeni. Po uporaniu się z mięsem zostawał na talerzu ten pyszny sos i powstawał dylemat, jak się do niego dobrać w elegancki sposób. Francuzi jako naród mięsożerny już dawno ten problem rozwiązyali. Należy posłużyć się kawałkiem chlebka – nadziać go na widelec i w ten sposób zgarnąć sos. W podobny sposób moi gospodarze posługiwali się chlebkiem do zgarniania na widelec resztek potrawy, której samym widelcem nie da rady wziąć, a posłużyć się nożem oczywiście nie wypada. Nóż służył im tylko do krojenia mięsa i – uwaga! – owoców. Pan domu pouczał mnie,

że najbardziej elegancki sposób jedzenia owocu to taki, w którym najmniej dotykam go rękami. Od tego czasu co wieczór ćwiczyłam „eleganckie” jedzenie nektarynki, podpatrując ukradkiem Gospodarza, bowiem jego nadrzędna rada brzmiała – bez względu na to, co mówią zasady *savoir vivre*’u, rób zawsze tak, jak pan domu.

Na rympał nie da rady

Dużo rzeczy we Francji jest lepiej zorganizowanych, niż w Polsce. Jednak trzeba przyznać, że pomimo urokliwych pejzaży, to rajem dla plecakowych łazików ona do końca nie jest. Przyroda tam robi dobre wrażenie, ale obserwowana z własnego tarasu z filiżanką kawy w dłoni. Drapieżne ptaki wzbijające się w powietrze z gałęzi wiekowych dębów czy sarny spacerujące o zmierzchu po ściernisku nie należą do rzadkich widoków. Serce człowiekowi rośnie, gdy widzi takie rzeczy i pragnąłby zbliżyć się jakoś, nawet jeśli nie do saren, to chociaż do dębów. Wiedzioną takim pragnieniem, założyłam pewnego poranka trampki i udałam się na zwiedzanie okolicy, przekonana, że będzie to piękna, romantyczna wycieczka. Niestety, Francuzi, strzegący zazdrośnie swojej własności prywatnej, poodgradzali się od sąsiadów różnymi rodzajami płotów i zasieków, które uprzykrzały mi wędrówkę. Gdy tylko się dało, korzystałam z wyłomów w ogrodzeniach, porobionych pewnie przez myśliwych. Jak można było się domyślić po wielkiej ilości wypchanych lisów i poroży, które można było zobaczyć dosłownie w każdym domu, polowanie nadal jest ważnym elementem burgundzkiego stylu życia. Żeby zająć się tym sportem, trzeba się oczywiście, tak jak w Polsce, zapisać

do koła łowieckiego. Ma się wtedy zapewnione korzystanie z lasu, udostępnionego przez właściciela, lasy bowiem we Francji są prywatne, podobnie jak właściwie wszystkie inne tereny zielone. Można więc spacerować po lesie i zrywać jeżyny z otaczającego go żywopłotu tylko, jeśli zna się właściciela. W przeciwnym przypadku jest to kradzież! Spotkani przeze mnie ludzie byli na tym punkcie bardzo czuli. Nawet małe dzieci upominały mnie, bym nie zrywała koniczyny z łąki, bo nie wiem, do kogo ona należy.

Na koniec jedna złośliwa uwaga. Byłoby dziwne, gdyby choć część stereotypów o Francji i Francuzach nie okazała się prawdziwa. W opinii międzynarodowej ten naród nie należy do specjalnie czystych. Nie mówię, że zaobserwowałam przykłady wyjątkowego niechlujstwa. Przytoczę jednak pewną rzecz, która dała mi do myślenia. W starym domu, jak to w starym domu, zdarza się, że jakiś robak wyjdzie czasem spod boazerii. Gdy tylko Gospodyni zauważała, że coś pełźnie po stole, zdecydowanie rozgniatła palcem stworzenie, pouczając mnie: „Trzeba je od razu zabijać!”.

Francja, choć bliska i podobno „cywilizowana”, okazała się być dość egzotyczna. Ponoć wykwintna, a tak swojska. Jeśli wybieracie się do Francji, możecie pojechać do Paryża, przejechać się obskurnym metrem i stanąć w kolejce do Luwru z tłumem Japończyków. Część z Was wróci jednak do domu z poczuciem, że to jednak nie było to. Jeśli więc marzą się Wam jowialni sprzedawcy sera w beretach i gotyckie katedry w pełnym słońcu, jedźcie na prowincję!

"Jesteśmy na wczasach w tych góralskich lasach..."

Jak zdobywaliśmy Góry Rodniańskie i dlaczego nam nie wyszło

Joanna Sznigir

W swojej karierze klubowej miałam przyjemność uczestniczyć w wielu świetnych wyprawach w góry, ale ta z września 2007 w rumuńskie Muntii Rodnei do dziś prowadzi w moim rankingu jako najbardziej wyjątkowa. Uczestnicy dochodzili po niej do siebie przez długie miesiące i nie chcieli słyszeć, ani tym bardziej rozmawiać, o „mokrej Rumunii”. Jednak minęło już sporo czasu i najwyższa pora napisać parę słów o wyjeździe, na którym przez sześć dni przeszliśmy zaledwie 53 GOT-y, a każdy z nich obficie polany był deszczem.

Podróż zaczęłyśmy w duecie z Dorotą – wówczas moją niezawodną towarzyszką górskich wędrówek z SKG. Nasze pierwsze przygody zaczęły się jeszcze przed opuszczeniem Wrocławia. Nocowałyśmy w mieszkaniu Doroty na Wojszycach, czyli, delikatnie mówiąc, wygwizdowie. Według rozkładu jazdy o 5:20 miał przyjechać autobus, którym miałyśmy dojechać na dworzec PKP i spokojnie zdążyć na pociąg do Przemyśla odjeżdżający o 6:00. Autobus łaskawie przyjechał o 5:45, a my nerwowo odliczałyśmy mijane skrzyżowania i upływające minuty. Godziłyśmy się z myślą, że się spóźnimy, a w Przemyśle reszta ekipy będzie czekać parę godzin, aż dojedziemy następnym pociągiem. Szczęście jednak nam sprzyjało i ten epizod mogę wpisać na długą listę zdarzeń z serii „Jak zdążyłam w ostatniej

chwili”. Na przemyskim dworcu przywitałyśmy się z dwiema Martami (czyli Wontrobą i Kulką), Tomkiem, Mateuszem i sprawcą całego zamieszania – przewodnikiem Pawłem. Po pierwszym wspólnym posiłku w barze ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku wschodnim. Busikiem i marszrutką dostaliśmy się do Lwowa, gdzie wsiedliśmy w pociąg do Czerniowców. Noc w wagonie placartnym upłynęła dość spokojnie, nie licząc podpitych Ukraińców, którzy próbowali poderwać Dorotę. Odporna na komplementy o swoich pięknych oczach, nie zdecydowała się podać im swojego numeru telefonu. Następne etapy podróży to busik do Suczawy, w którym upchano mnie między wielkimi torbami oraz powoli turlający się rumuński pociąg. Przez okna obserwowaliśmy krajobraz i deszcz, który, jak się później okazało, miał być naszym nieodłącznym towarzyszem.

Wreszcie nastąpił moment wyruszenia w góry. Radość tej chwili psuła nam wstrętą pogodą – w ciągu dwóch godzin wędrówki całkowicie przemokliśmy. Doszliśmy do baczówki, w środku której rozbiliśmy namioty. Szum deszczu i bliskość cywilizacji niepokoiły mnie tak bardzo, że długo nie mogłam zasnąć. Wydawało mi się, że słyszę skradających się ludzi, którzy nas zamordują, zgwałcą, a co najmniej okradną. Urojenia te są dowodem złego wpływu wilgoci na psychikę i zapewne pewnego dnia posłużą

wybitnej pracy naukowej na ten temat.

Drugi dzień upłynął pod znakiem mgły, mżawki i mżolnego przedzierania się przez błoto. Pojawiły się też pierwsze duże przeszkody terenowe w postaci wiatrołomów. Wieczór spędziliśmy w kolejnej baczce, grzejąc się przy rozpalonym wewnątrz ognisku. Mimo wielu zalet tego rozwiązania, mankamentem była konieczność ciągłej obserwacji sufitu i polewania go wodą, gdy zaczynał się dymić. Oprócz pysznego obiadu umilaliśmy sobie czas różnymi anegdotkami "z pieprzykiem", w których pieprzyk był czasem dobrze zakamuflowany.

Następnego poranka zaświeciło mocno słońce, co po dwóch deszczowych dniach bardzo nas ucieszyło. Marty z tej okazji zrobiły sesję zdjęciową z tematem przewodnim "Światło – cień". Byłam przekonana, że to już koniec moknięcia i nastanie czas zdobywania szczytów, opalania się na polankach i radosnego przeżywania wyjazdu. Paweł ostrzegł, żebym powstrzymała entuzjazm, bo ładna pogoda utrzyma się tylko do południa. Pozwoliłam sobie na zwątpienie w jego meteorologiczne zdolności i w okularach przeciwsłonecznych na nosie zaczęłam podśpiewywać piosenkę "Jesteśmy na wczasach, w tych góralskich lasach, w promieniach słonecznych opalamy się...". Niestety nasz dyżurny synoptyk miał rację i po południu pogoda się zepsuła. Wróciła mżawka, wiatr, ale wspomniana piosenka o wczasach już mnie nie opuszczała do końca wyjazdu. Parę razy rozwiało chmury i kiedy było widać cokolwiek poza mgłą, jak szaleni rzucaliśmy się do aparatów i fotografowaliśmy, ile wlezie. Oglądając zdjęcia z wyjazdu, można by pomyśleć, że w tych Górach Rodniańskich było całkiem ładnie. W miejscu, gdzie rozbiliśmy obóz, mocno wiało, a kiedy zaszło słońce zrobiło się bardzo zimno. W tych warunkach gotowanie obiadu było prawdziwym wyzwaniem, dlatego też Paweł uzbroił się w różowy szalik Kulki niczym w talizman i zapewne tylko dzięki niemu poradził sobie i dostarczył nam ciepły posiłek.

Rano obudziliśmy się w namiotach przysypanych śniegiem. No, tego to już było za wiele! W związku z ewidentnie odmawiającą współpracy pogodą porzuciliśmy plany zdobywania szczytów. Doszliśmy na przełęcz, na której wiało tak mocno, że paru osobom zwiało pokrowce z plecaków. Z przełęczy zaczęliśmy schodzenie do cywilizacji, które miało potrwać o wiele dłużej, niż byśmy się spodzielali. Znowu na chwilę się roz pogodziło i widzieliśmy płynący w dole szeroki potok, okoliczne strumyki, wodospady – wszędzie dużo wody, co wcale nas nie dziwiło. I właściwie w tej wodzie później spaliśmy, to znaczy rozbiliśmy się tuż przy potoku, na dość podmokłym terenie. W tych okolicznościach przyrody poczuliśmy wielką tęsknotę za ciepłem i suchością. Przy ognisku pijąc herbatkę przyrządzoną według tajnej receptury Wontroby rozpaczliwie próbowaliśmy podsuszyć buty i skarpety, co było dość absurdalne (wciąż siąpił deszcz) i mało rozsądne – w moim przypadku suszenie skończyło się wypaleniem dziur w ulubionych skarpetach i podniszczeniem butów. Potem zapakowaliśmy się do namiotów i śpiworów, by w małych podgrupach prowadzić rozmowy. Zapewne znacie tę piosenkę: "W czasie deszczu dzieci się nudzą". My wieczorną nudę podczas wyjazdu poznaliśmy równie dobrze jak zapach stęchłego namiotu.

Kolejny dzień dla odmiany przywitał nas ulewą.

W związku z tym pobudki nie było i dopiero koło południa, kiedy trochę mniej padało, Paweł dał sygnał do szybkiego zwinięcia obozu. Przy pierwszym przekraczaniu potoku nastąpił długi, później już niepraktykowany, ceremoniał: ściąganie (i tak mokrych!) butów, przeprawa, suszenie ręcznikiem stóp i zakładanie butów. Potem ruszyliśmy przez las. Powalone drzewa znacznie opóźniały nasze tempo, do tego dochodziły strumyki, wodospad i inne atrakcje. Po około dwugodzinnej walce z tymi wszystkimi przeszkodami doszliśmy do miejsca, w którym możliwości dalszego marszu skończyły się – przed nami wyrosła skalna ściana nie do pokonania. W tej sytuacji musieliśmy z powrotem przedzierać się przez znajome już wiatrołomy i wodospad. Po całym dniu mordegi wróciliśmy niemal dokładnie do punktu wyjścia, w zasięgu wzroku mieliśmy miejsce naszego poprzedniego obozu. Zaczęliśmy wątpić w to, że kiedykolwiek wydostaniemy się z tych mokrych, nieprzyjaznych gór. Paweł zabrał się za rozpalać ogniska, ale mokre drewno stawiało duży opór. Długa walka o ogień zakończyła się sukcesem i mogliśmy się trochę ogrzać i zjeść okropny obiad z liofilizatu. Ja mogłam podsuszyć śpiwór, który źle zabezpieczony przed wilgocią okropnie zmókł.

Po zimnej i mokrej nocy nastał kolejny (bardzo) mokry dzień. Tym razem mieliśmy wypróbować drogę wzdłuż potoku Repedu (po rumuńsku "wartki" – bardzo adekwatnie). Początkowo łatwe przeprawy stawały się coraz trudniejsze i trzeba było mocno trzymać kijki, żeby nie porwał ich nurt. W ciągu tego dnia przekraczaliśmy rzekę co najmniej dziesięć razy i wspaniale było wtedy widać zgranie naszej grupy. Każdy wiedział co ma robić: podać rękę kolejnej osobie, przytrzymać kijki albo popchać pupę. Nie trzeba było nic mówić, zresztą na rozmowy nie mieliśmy siły ani ochoty. Mimo wszystko czułam, że jestem we właściwym miejscu i w jakiś pokręcony sposób było mi tam dobrze. A pod nosem wciąż nuciłam "Jesteśmy na wczasach", starając się nie robić tego zbyt głośno, żeby nie drażnić reszty.

W końcu dotarliśmy do upragnionej cywilizacji. W pierwszym z brzegu domu przyjęła nas gościnna starsza pani i udostępniła nam do spania suche pomieszczenie. Niektóre elementy wystroju, jak dywany na ścianach i duży piec kaflowy, przypomniały mi dzieciństwo i dom mojej babci. Nasza przemiła gospodyni nie umiała porozumieć się w żadnym znanym nam języku, a my niedostatecznie opanowaliśmy rumuński, więc pozostał nam uniwersalny język gestów i uśmiechów. Komin pieca był zapchany i o ciepło mogliśmy zapomnieć, na pociechę dostaliśmy wiadro mleka prosto od krowy. U rumuńskiej babci spędziliśmy miły (i przede wszystkim SUCHY) wieczór, a następnego dnia zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia i pożegnaliśmy się ze starszą panią obietnicą, że, jak następnym razem będziemy w okolicy na pewno ją odwiedzimy.

Wiadomość, że dalszą drogę mamy przebyć autostopem mocno mnie przybiła, bowiem moje wcześniejsze próby z tą formą podróżowania trudno było nazwać udanymi. Podzieliliśmy się na zespoły, ja wyładowałam w parze z Mateuszem. Naszym celem był dworzec kolejowy w miejscowości Vatra Dornei. Rozdzieliliśmy się, po chwili czekania zatrzymał się busik, a w środku byli Paweł i Dorota. Podjechaliśmy kawałek razem, potem znowu się rozdzie-

liliśmy i po chwili czekania zatrzymał się kolejny busik, znowu z Pawłem i Dorotą! Wspólnie przejechaliśmy piękną górską drogą, po czym rozstaliśmy się tym razem na dobre. Czekaliśmy dość długo, aż udało nam się zatrzymać auto z, jak się okazało, polskimi rejestracjami!!! Nasi rodacy jechali przez Vatra Dornei i w swojej uprzejmości zgodzili się nas tam zabrać. W bagażniku nie było miejsca na moje i Mateusza plecaki, więc wzięliśmy je na kolana. Początkowo prowadziliśmy przyjemną podróżniczą pogawędkę – wioząca nas para opowiadała o swoich objazdowych wakacjach w Rumunii, wypytywali także o nasze przygody w górach. Po pewnym czasie ich entuzjazm jakby przygasł, tematy się skończyły, a atmosfera zgęstniała. Chyba w końcu dotarła do nich woń naszych przegniłych plecaków, butów... i nas. Na domiar złego jechaliśmy remontowaną drogą i co chwila staliśmy na czerwonym świetle, a ruch powietrza w aucie zamierał. Kierowca otworzył na całą szerokość okna – “Nie wiecie wam?” – “Nie, nie!” – “Jakby wam wiało, to mówcie”. Na następnym czerwonym świetle otworzony został szyberdach – “Nie wiecie wam?” – “Nie, nie”. Mimo tych zabiegów smrodek gęstniał i naprawdę ich podziwiamy, że dotrwali do końca bez ostentacyjnego zakrywania nosa. Pod stacją kolejową wysadzili nas, szybciotko się pożegnali i pomknęli dalej.

Moja autostopowa zła passa została przełamana – dotarliśmy jako pierwsi i mieliśmy sporo czasu, żeby dokładnie obejrzeć dworzec. Mateusz zwiedził także jego najbliższe okolice, a w sklepie spożywczym zaopatrzył się w swój sok Tymbarku. Mniej więcej po dwóch godzinach dotarła reszta ekipy i wspólnie zrobiliśmy szaloną kanapkową wyzerkę na dworcu, a potem poszliśmy na pyszne i tanie rumuńskie piwo na knajpy. W tych jakże cywilizowanych

warunkach postanowiliśmy przeprowadzić wysoce kulturalne rozmowy zapoznawcze – każdy musiał odpowiedzieć na szereg ważnych pytań, np. o ulubiony kolor. Kiedy zamknięto bar, wróciliśmy na dworzec. Zająłem rewelacyjną miejscówkę pod stołem, gdzie nikt nie mógł mnie zdeptać i głębokim snem przespałem czas, który pozostał do pociągu. Transport do Lwowa szedł nam tak szybko i sprawnie, że, między jednym a drugim środkiem lokomocji, z trudem udawało się znaleźć czas na załatwienie potrzeb fizjologicznych. Hitem muzycznym wyjazdu zostały “Białe róże” natrętnie grane w busiku relacji Suczawa-Czerniowce. We Lwowie znaleźliśmy nocleg u pana Leszka, gdzie pierwszy raz od opuszczenia Polski można było się porządnie umyć w ciepłej wodzie. Przyjemność ta była limitowana, bo każdy dostał na kąpiel około 15 minut, a potem odświeżeni udaliśmy się do knajpy na wielki obiad, piwo i ciasto. Po tak ciężkim pobycie w górach należało nam się korzystanie z dobrodziejstw cywilizacji pełnymi garściami, więc następnego dnia w kawiarni również nie szczędziliśmy hrywien na ciasta, kawę i alkohole, a wszystko to swoją drogą było skandalicznie tanie. Zwiedziliśmy trochę miasto, ale bez wielkiego entuzjazmu, bo wciąż nie opuszczał nas towarzyszący deszcz. Po południu ewakuowaliśmy się w stronę Polski, zostawiając we Lwowie Kulkę i Wontrobę.

Wyjazd niechęć zakończyłam mocnym akcentem, tłukąc talerz w pizzerii w Przemyślu. Żalowałam, że to już koniec, bo mimo kiepskiej pogody był to dobrze spędzony czas ze świetnymi ludźmi. Doceniam też lekcję, jaką dały nam góry i sprawdzian ze współpracy, który według mnie zdaliśmy na piątkę. A po powrocie do domu długo suszyłam buty i plecak, a jeszcze dłużej tępiłam grzyby, które wyrosły na ściankach namiotu. ■

Ewelinówko-Tatrówka 5-6.04.2014

Ewelina Różnańska

Opowiem Wam, jak to jest spędzić urodziny w Tatrach z najlepszą ekipą pod słońcem. Jak to jest przeżyć ten – co tu kryć – szczególny dzień w roku w gronie górskich przyjaciół.



Wyjazd był okraszony wypowiedzianym przez Malucha od czasu do czasu zdaniem, które zapadło mi w pamięć i stało się swoistym mottem: *Gdybyś miała innych przyjaciół, malowałabyście w twoje urodziny paznokcie. Z nami*

jedziesz w góry.

Więc pojechaliśmy – Maluch, Ela, Gosia Rukasz i ja – tradycyjnie Polskim Busem do Zakopanego. Po drodze w Krakowie w środku nocy Maciek Szuba dostarczył nam dreszczyku emocji, gdy w ostatniej chwili dobiegł do busa. Według Maćka między 3 a 4.30 w nocy krakowska komunikacja miejska zamiera. A bieg z kilkunastokilogramowym plecakiem przez pół miasta to przecież świetny trening przed maratonem, który Maciek i tak zamierza przebiec⁵.

Rano na zakopiańskim dworcu objawiła się nam postać Michała Stachury, który chciał samotnie wędrować po Tatrach. Już jeden Samotny Odyniec błąka się po górach, więc nie mogliśmy dopuścić, by ich liczba wzrosła. Długo nie trzeba było przekonywać Michała, żeby nieco zmienił swoje plany i do nas dołączył.

Doliną Chochołowską podążaliśmy wraz z pielgrzymkami, ciągnącymi tłumnie ku Sanktuarium Szafrana Spiskiego, który okazał swą fioletową obfitość na Chochołowskiej Polanie. Widok był wspaniały! Ogromne połacie łąki emanowało pointyлизmem wiosennej przyrody w jednolitej barwie fioletu. Powyżej tego naturalnego dywanu rozciągał się ciemny płaszcz jodłowo-świerkowego lasu, nad nim nakrapiane kępami kosówki beżowe, wypływałe ze-

⁵i przebiegł na krakowskim maratonie 18 maja!

szlorocznymi trawami hale i przesłonięte mgłą najwyższe partie ośnieżonych gór. W tym momencie interesowały nas tylko krokusy, stawialiśmy kroki ostrożnie, jakbyśmy chodzili po żarze z ogniska, unikając wdepnięcia w któregoś z tych bądź co bądź prawem chronionych braci mniejszych podczas sesji zdjęciowej.

Tak na marginesie. Wicie, dlaczego łąka jest mokra? Bo polana.

Popas w schronisku, gdzie wreszcie mogliśmy zostawić te ciężkie plecaki. A przynajmniej niektórzy mogli, bo Maciek nie wiedzieć czemu, na nowo załadował swój wór na garb, nie wypakowawszy z niego nic zupełnie i wlał do termosu wrzątek, tłumacząc, że jest dobry na rozgrzewkę. Może i był w tym jakiś sens, ale nie czułam się przekonana do tego przedsięwzięcia. Ogólnie jeszcze wtedy nie rozumiałam, dlaczego plecak Malucha był tak niepospolicie ciężki, podczas gdy Gosia dała radę zapakować się w 35 litrów.

Ale nic to, ruszyliśmy na Grzesia – całe 1653 m n.p.m. O niebios! Idąc zupełnie na lekko, o ile bliżej mi było tatrzańskiej kozicy niżli do beskidzkiego dromadera! Im wyżej, tym więcej śniegu na szlaku, więc postanowiliśmy zrobić użytek z przytarganych przez nas, pożyczonych od życzliwych ludzi raków. De facto był to jedyny raz, kiedy mogliśmy je wykorzystać. Wszyscy uradowani, poruszamy się krokiem Johna Wayne'a, radziecki klubowy sprzęt (który już dawno temu powinien się znaleźć w muzeum turystyki SKG) zaczyna oczywiście już trochę szwankować... Jest całkiem przyjemnie, szkoda tylko, że ledwo uszlismy 30 metrów, a śnieg się skończył! Wybuchliśmy panicznym śmiechem. Dalej na Grzesia wchodziliśmy bez raków.

Kilkadziesiąt metrów przed szczytem Maciek ni z tego ni z owego odłączył się od nas, a Grześ został zdobyty przez cztery niewiasty. Wtem na horyzoncie ukazał się przedzierający się przez smugę gęstej mgły, niewzruszony siłą wiatru i zacinającego deszczu, człowiek ubrany w od stóp do głów w garnitur, krawat, wypastowane buty i specjalnie do nich dobrane skarpetki. Co za szyk, co za elegancja, proszę państwa! Maciej Szuba we własnej osobie osiągnął wierzchołek Grzesia w iście gentleman'skim stylu. Pomimo okrzyków zaskoczenia, śmiechu i ogólnej ekscytacji, człowiek ten nie uległ emocjom udzielającym się innym zdobywcom Grzesia. Pozostał niewzruszony, nic nie było w stanie wybić go z rytmu i zaburzyć obranego przez siebie kierunku działania. Sir Maciej (herbu Szuja :P) wyjął porcelanową filiżankę i wlał doń aromatyczną kawę, którą wpięrsz sam skosztował, podając następnie reszcie do degustacji. Wyjął także talerz, srebrne sztucze rodowe, menażkę i tajemniczy termos z wrzątkiem. Posłużyło mu to wszystko do preparacji zacnego dania złożonego z zalanego owym wrzątkiem kuskusa, tuńczyka oraz warzyw, pochodzenia słoikowego. Obiad ów został podany na białoczerwonym słupku granicznym, brakowało tylko pachnącego rumiankiem obrusa, ale na to można przymknąć oko. Każdy z nas spróbował tegoż dania, zachwalając kucharza, jego nienaganny strój, ekwipaż oraz dobór podniebnej scenografii.

W chmurze mgły panoramy były nieosiągalne, a Maciek był nie lada atrakcją Grzesia, więc ludzie robili sobie z nim zdjęcia. A potem znajdzie się taki w albumie i będą

opowiadać: *Zobacz wnusiu, gdy za moich czasów chodziło się po Tatrach, ludzie ubierali się w specjalną odzież turystyczno-sportową. Ten pan jest w garniturze, bo kręcili o nim, proszę ja ciebie, film. Nie było widać ekipy filmowej, ale jestem święcie przekonany, że tam musiała być jakaś ukryta kamera!* I tak rozbudowywać się będą rodzinne sagi, następne pokolenia będą wertować archiwa kinematograficzne w poszukiwaniu produkcji z choć jednym kadrem ukazującym człowieka w garniturze wędrującego po Tatrach Zachodnich. A warto wspomnieć, że było to po prostu wejście gentleman'skie. Ot tak.



Mimo wczesnego popołudnia wróciliśmy do schroniska, bo pogoda nie zachęcała do wędrowki granią, a i dziewczyny wykazywały jakieś dziwnie podejrzanе oznaki zmęczenia, choć szliśmy raptem parę godzin. Usiadły przed schroniskiem przy piwie i otworzyły termos z kawą, której z jakichś niezrozumiałych dla mnie wtedy względów nie można było pić. Na propozycję zakręcenia termosu, żeby zwyczajnie kawa nie stygła, zareagowały sprzeciwem, co zdziwiło mnie bardzo. Uśmieški półgębkiem, porozumiewawcze spojrzenia, przerwane w półsłowa zdania, puszczenie oka do kogoś za kolumną i te westchnienia o przyszłość i odpoczynku (jakby było po czym!). Wszystko to nieprzyzwoicie dziwne i zupełnie sprzeczne z naturą tych ludzi, których znam przecież nie od wczoraj. Zastanawiałam się z dyskretnie skrywanym rozczerwaniem ich brakiem motywacji do dalszej wędrowki, czy możliwym jest, żeby taka Maluch czy Ela czy Gosia z dnia na dzień tak zdziały i rozmemły się jak papki jednogarnkowe na wiosennym?

Nie dawało mi spokoju pytanie natury egzystencjalnej: czy ja w ich wieku też będę taka, czy przestanie mi się chcieć?!

Nie mogłam dłużej uczestniczyć w tym pomieszeniu jaźni, więc gdy tylko ulokowaliśmy się w pokoju, wyszłam z Maćkiem na zewnątrz i poszliśmy gdzieś przed siebie. A była to zaledwie 17 godzina. Na skraju Polany stoi mała drewniana kapliczka św. Jana Chrzciciela, zbudowana podobno specjalnie dla serialu Janosik, a za nią wyrasta na stromych stokach ciemna ściana lasu. I w tę ścianę wleźliśmy, pięliśmy się pod górę pośród poprzewalanych wiatrowarów. Naszym celem były górujące nad Polaną zęby Chochołowskich Mnichów. Dwa razy przeprawialiśmy się przez wąwozy, niestety kolejny był obudowany tak stromymi ścianami, że okazał się nie do pokonania. A Mnichy były jeszcze wysoko nad nami... Nie tędy droga wiedzie, więc po wydeptanych ścieżkach zwierząt zeszliśmy na Polanę i do schronu.

A tam dopiero czekała niespodziewanka! Ustawiona wokół uginającego się pod ciężarem smakowitości stołu czekała na nas zmarznęta i zniecierpliwiona reszta ekipy. Narastającą ciemność rozświetlały świece na... torcie i arbuzie. Tak, tam był arbuz! Dwie butelki czerwonego wina jeszcze jestem w stanie zrozumieć, ale kolejne ciasto i to w blasze, przykryte solidną drewnianą deską?! A to wszystko przydzwigane na ich plecach! Ło matko! Szybkie sto lat, bo robiło się coraz zimniej i zmiana lokalu na nasz prywatny apartament. W międzyczasie Maluch ochrzaniała Maćka za niedotrzymanie czasu *wyprowadzenia mnie na półgodzinny spacer*, który wydłużył się do dwóch godzin z hakiem, i niezabranie ze sobą telefonu. Tymczasem cierpliwie na nas czekali na zewnątrz i marzli, a Gosia i Michał nie złamali się i oboje wygrali zakład, wytrzymując ten czas bez zakładania kurtki. Ja oczywiście nie byłam niczego świadoma, co było wręcz nieocenionym elementem w przygotowaniu całej intrygi-niespodzianki. Nie ma to jak grać na mojej naiwności i ufności! Kochani, aktorstwo pierwszorzędne – z takim stażem możecie zostać przyjęci w każdym teatrze ;-). Ależ oczywiście, że się nie gniewam. Wyszło rewelacyjnie, za co Wam z całego serca dziękuję.



Prawdziwa uczta rozpoczęła się na dobre, gdy przeszliśmy do degustacji. Tort turystyczny jest sprawą absolutnie genialną. Kupny biszkopt, nasączony ową stygnącą w termosie kawą, przełożony bitą śmietaną i owocami z puszek – takie proste, a takie pyszne. Dalej – piernik Maćka z gruszkami, piwem, miodem i orzechami – istna ambro-

zja, niebo w gębie i 3 kilo na plecach (bo w blasze ;-)! Powiew orientu – 3 kilogramowy arbuz i nagrzane w południowym słońcu włoskie wino. A wszystko przytargane na własnych plecach! Ale to jeszcze nie koniec, bo Maciek wyjął gitarę i wszyscy zamieniliśmy się w słuch, gdy zaśpiewał skomponowaną przez siebie *Geburtstagsgeschenk* zadedykowaną jednej z siedzących w pokoju osób...

Możecie mi nie wierzyć, ale ja naprawdę niczego się nie spodziewałam! Myślałam, że wyjazd upłynie tak jak w zeszłym roku, kiedy w sobotę loiliśmy cały dzień przez Zawrat do schroniska w dolinie Pięciu Stawów i wieczorem zrobiliśmy niezobowiązującą urodzinową imprezkę. Za to niedzielę spędziliśmy na kultywowaniu sztuki wypoczynku, w którą wpisało się spokojne zejście do Zakopanego i smakowanie swojskiej góralskiej kuchni. Już nie będę Wam opisywać, ile Przemek Linke jest w stanie zjeść na raz, ale uwierzcie mi, że naprawdę ma możliwości ;-).

W tym roku scenariusz był inny. Podczas, gdy sobota upłynęła błogo i mogliśmy jedynie popatrzeć na wybijające się nad horyzontem góry oddalone od nas o godziny marszu, tak w niedzielę chcieliśmy je zdobyć. Michał jednak ma w sobie coś z Samotnego Odyńca i tego dnia zdecydował samotnie przewędrować Tatry Zachodnie, więc wyszedł przed nami. Spotkaliśmy go później na Kończystym Wierchu i dalej schodziliśmy już w pełnym składzie. My, opuściwszy mury schroniska, poszliśmy czerwonym szlakiem na Trzydniwiański Wierch (1758 m n.p.m.). W dolinie Chochołowskiego Potoku byliśmy świadkami żabich umizgów i romansów godowych. Żabia ścieżka dobitnie ukazywała wiosenne rozbuchanie przebudzonej po zimie przyrody. A w kałużach połyskiwał dopiero co złożony skrzek.

Zachodniotatrzańskie krajobrazy nieodparcie przypominały mi Góry Skandynawskie w Norwegii. Są łagodne, a jednocześnie monumentalne. Wydają się niedostępne, a przecież stąpamy po nich pewnym krokiem.

My obraliśmy kierunek południowy i weszliśmy na Kończysty Wierch (2002 m n.p.m.), następnie zdobyliśmy Starego Bociana (2176 m n.p.m.) – ciekawe skądinąd jakie były losy tego bociana, który trafił na najwyższą górę Tatr Zachodnich. Mimo zbliżającego się zmroku, na Siwej Przełęczy podjęliśmy decyzję o przejściu grzbietem Ornika (1854 m n.p.m.) do Iwaniackiej Przełęczy. Napotkani ludzie uprzedzili nas, że nie ma wytyczonej ścieżki do przełęczy, więc musimy ją sobie sami utorować. Jednak nie był to miękki puch śniegowy, lecz zmrożony śnieg i gęsta kosodrzewina. Łojanci Gosia i Michał zwinnie zeszli do Iwaniackiej i czekali na nas dobre 15 minut. Maciek obrał własną drogę i szłoby mu się całkiem nieźle, gdyby nie zawieszona na plecaku gitara... Ela, Maluch i ja poszliśmy jeszcze inną drogą, zapadając się niekiedy po pas, bo Magda i ja do najwyższych członków ekspedycji nie należymy, wręcz przeciwnie! Sama nie wiedziałam, czy lepiej było iść przodem i zapadać się pod własnym ciężarem czy zapadać się w czyichś śladach. W obu przypadkach każdy krok był niósł za sobą niepewność, czy zapadnę się tylko po kolana czy po pas, a może stopa ugrzęźnie mi między popłatnymi pniami kosówki. Było w tym coś z przedwojennego turysty górskiego, który siłą rzeczy nie znał jeszcze rakiet śnieżnych. Przeprowadzenie przez zmrożony śnieg nie zostawiła na nas suchej nitki, Maciek na kosówce rozerwał sobie

spodnie, a ja miałam całe posiniaczone nogi, jakby mnie ktoś pobił.



Wszystkie te trudy i zmagania odbiliśmy sobie lada moment w ciepełku. Było już ciemno, gdy zaszliśmy do schroniska na Hali Ornak. Jak cudownym uczuciem jest

zdjęcie mokrych butów choć na chwilę! Jak błogo jest wypić kawę i dojeść urodzinowy piernik!

Jak mogliśmy się przekonać, zakopiańska sieć przewożowa jest dyspozycyjna o każdej porze dnia i nocy. Wystarczy spytać górala, czy zna kogoś z 8-osobowym busem i sytuacja sama się rozwiązuje w ciągu kilku minut. Szwa-gier trochę popił? Nie szkodzi - to sąsiad po was zajędzie.

Dolinę Kościeliską oświetlał tej nocy księżyc i niebo ro- iło się od gwiazd. Idzie się prostą, szeroką drogą bez włą- czonych czołówek. Trochę na czuja, ale to pozwala w peł- ni odczuwać wszystko wokół. Słyszysz szum drzew, potok uderzający o kamienie, własne myśli, może nawet myśli innych? Widzisz całą paletę odcieni ciemności, bo noc też ma różne barwy. Czujesz, że na odkrytej przestrzeni jest ciut chłodniej niż wśród drzew. Igły pachną intensywniej. Powietrze drży od ciszy. Zaczynasz nucić coś pod nosem, pogwizdywać, z twoich ust nieśmiało wydobywa się jakaś dawno nieśpiewana piosenka, i już chcesz się odezwać, ale gryziesz się w język, żeby nie zakłócić tej harmonii i ze- spolenia z naturą. ■

Ośmioro zapaleńców i zew przygody

Gosia Grabowska

Zaczął się od przeszkód, jak zawsze. Urlopy, egzami- ny, inne wyjazdy... Już ustalenie terminu naszej wysoko- górskiej przygody nie obyło się bez poświęceń. W końcu stanęło na tym, że w Alpy pojedziemy w dwóch czterooso- bowych ekipach, ale na Mont Blanc (4810 m) wyruszmy wspólnie. Pierwsza ekipa (Magda, Natalia, Tomek i ja) ru- szyla samochodem w 24-godzinną trasę już 1 lipca. Druga ekipa (Czarek, Karol, Damian i Piotrek) miała dołączyć po tygodniu.



Nie da się ukryć, że w pierwszej ekipie przeważał pier- wiastek żeński, co jak się okazało na włoskim lodowcu, nie jest zbyt częstym przypadkiem wśród miłośników gór wysokich. Również niska średnia wieku wyróżniała nasz zespół wśród innych zespołów. „O proszę, dzieci chodzą po lodowcu!” – zażartowali sobie z nas pewnego razu na- potkani Słowacy.

Nasz tydzień aklimatyzacyjny postanowiliśmy spędzić w Alpach Penińskich. Świadomi swego amatorstwa wie- dzieliśmy, że nie znając zachowań swoich organizmów na

wysokościach lepiej do 4810 m zbliżać się powoli. Alpy po- czątkowo przywitały nas dwoma dniami niepogody, któ- re spędziliśmy na wędrowce dolinami w okolicach doliny Aosty i na noclegu w schronie Bivacco Lago Tzan (2459 m). Następnie uderzyliśmy do doliny Ayas, aby dokonać eksploracji masywu Monte Rosa. Dla nas, dziewczyn było to pierwsze spotkanie z lodowcem, które jednak zakończy- ło się sukcesem, gdyż udało nam się zdobyć trzy czteroty- sięczniki: Castor (4228 m), Breithorn Zachodni (4164 m) i Rocca Nera (4075 m) oraz spędzić dwie noce w malow- niczo położonym schronie na 3700 m. Położenie było na tyle malownicze, że aby wyjść „do toalety” trzeba było za- łożyć raki, bo inaczej niemożliwym było oddalenie się od schronu choćby na parę metrów.



Po paśmie sukcesów nasza czwórka skierowała się w okolice Chamonix – gdzie miała dołączyć do nas druga, czteroosobowa ekipa. Nieodparta chęć zdobycia jak naj- szybciej szczytu Mont Blanc (4810m) początkowo dopro- wadziła do poważnego starcia się poglądów na to, którą drogą powinniśmy zdobyć tę białą górę. W pewnym mo-

mencie dyskusje nad wyborem drogi przybrały nawet formę rozmów o tym, jakiego typu śmierć wolimy - zginąć w lawinie, w szczelnie, od spadających kamieni, czy z powodu oberwania się seraka. Od początku założeniem naszego wyjazdu był niski budżet, a więc spanie w schronach i namiotach. Na tzw. francuskiej drodze normalnej, najbardziej uczęszczanej, najwyższym miejscem, gdzie obecnie wolno się rozbijać jest schronisko Tête Rousse położone na wysokości 3167 m, co oznacza, że atak szczytowy musiałby obejmować przewyższenie rzędu 1600 m. Oprócz tego, droga ta znana jest z groźnych spadających kamieni w tak zwanym kuluarze „Rolling Stones”. Dlatego po długich rozważaniach w końcu stanęło na tzw. normalnej drodze włoskiej, czyli tej prowadzącej z doliny Val Veny przez schronisko Gonella (3071 m).

I tak pokonawszy samochodami tunel pod naszą górą marzeń, stanęliśmy u stóp drogi, która miała doprowadzić nas na jej szczyt. Trasa, zgodnie z przypuszczeniami, urozmaicona była głównie wszelkiego rozmiaru malowniczymi szczelinami. Na szczęście o tej porze roku wszystkie były bardzo dobrze widoczne. Po noclegach na wysokości 2500 m oraz w pobliżu schroniska Gonella, czyli po trzech dniach wędrówki doszliśmy do miejsca położonego na 3700 m, z którego miał odbyć się atak szczytowy.

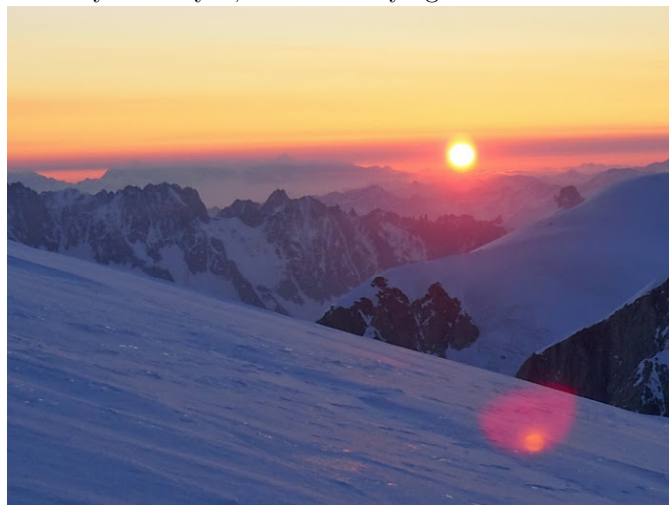


Poprzedniego dnia wieczorem pełni energii i zapału ustaliliśmy pobudkę na atak na 1 w nocy. Jednak rzeczywistość o tej godzinie pamiętnego 12 lipca 2013 roku okazała się zgoła odmienna niż ta sprzed kilku godzin, kiedy to jeszcze słońce omiatało nasz obóz promieniami i już na starcie niektórzy uczestnicy doznali pewnych opóźnień,

które zaowocowały wrzeniem u innych uczestników i w rezultacie na podziale na inne zespoły linowe niż było to planowane.

Emocjom wywołanym atakiem szczytowym nie było końca, podobnie jak zmianom składów zespołów w trakcie trasy. Wszyscy jednak parli do góry, niektórzy na tyle sprawnie, że już w okolicach godziny 8 stanęli na szczycie, inni w trochę wolniejszym tempie dotarli tam po kolejnych około 3 godzinach, a jeszcze inni postanowili zawrócić w okolicy Dôme du Goûter (4306 m) ze względu na złe samopoczucie. Jednak końcowy rezultat rozgrywki pomiędzy naszą wyprawą a najwyższym szczytem Europy okazał się zwycięski - 5 do 3.

Schodząc po 6 dniach spędzonych w warunkach lodowo-śniegowo-spartańskich czuliśmy się jak zwierzęta, ale w większości, z grubsza rzecz biorąc, zadowoleni. Jedni ze zdobycia szczytu, inni ze zdobytego doświadczenia⁶.



Kolejnego dnia część ekipy zaczęła powrót do Polski, a Czarek, Karol, Damian i ja udaliśmy się nad Morze Liguryjskie (część Śródziemnego) w rejon skałkowy w okolicy miejscowości Finale Ligure w celach m.in. wspinaczkowych. Do sukcesów należy zaliczyć zrobienie przez Karola i mnie czterowyciągowej 90-metrowej drogi o wycenach kolejnych wyciągów 5c+, 5b, 5a i 5b+⁷.

18 lipca 2013 wieczorem wszyscy byliśmy już z powrotem w Polsce. Niektórzy z głowami pełnymi nowych pomysłów – a może za rok Elburs (5642 m), a za dwa Pik Lenina (7134 m)... ■

⁶dwa ostatnie zdania to trochę uładowana wersja ;) – od autora

⁷nie mogłam się powstrzymać ;)

Dziesięciolecie

Grzegorz Kaczmarek

Wodniacy w SKG

We wrześniu roku 1987 miała miejsce jedna z najbardziej nietypowych imprez w historii Klubu. Jerzy Sternicki poprowadził rajd poobozowy po trzytygodniowym przejściu letnim o enigmatycznej nazwie Góry północno-wschodnie. Pod tą nazwą kryły się Pojezierza Suwalskie i Augustowskie znajdujące się na północnych kresach dzisiejszego województwa podlaskiego.

Była to bodajże jedyna oficjalna klubowa „impreza na wodzie”, bo wątpię by ekipa Sternickiego biegała jedynie po tamtejszych wzgórzach.

Starożytny sprzęt

W kwietniu 1980 roku odbył się trzeci rajd Gorcze-Pieniny. Jego trasa biegła przez polski i słowacki Spisz. Jego uczestnicy przemierzili Beskid Sądecki, Góry Lubowskie, Magurę Spiską i Pieniny. W rozprawdanej przed wyjazdem ulotce prowadzący trasę zaprezentował jej dokładny przebieg, atrakcje i realia. Chyba najciekawsze są te ostatnie, gdzie wśród wyposażenia znalazły się między innymi materac lub gąbka (substytut karimat, które pojawiły się około dziesięć lat później) - maszynka benzynowa, busola i wełniana czapka. Nieco poniżej wyjaśniał, że tym razem nie będą potrzebne książeczki walutowa i wojsko-

wa; układ z Schengen został podpisany w roku 1985, a w Europie Środkowo-Wschodniej zaczął obowiązywać w 23 lata później...

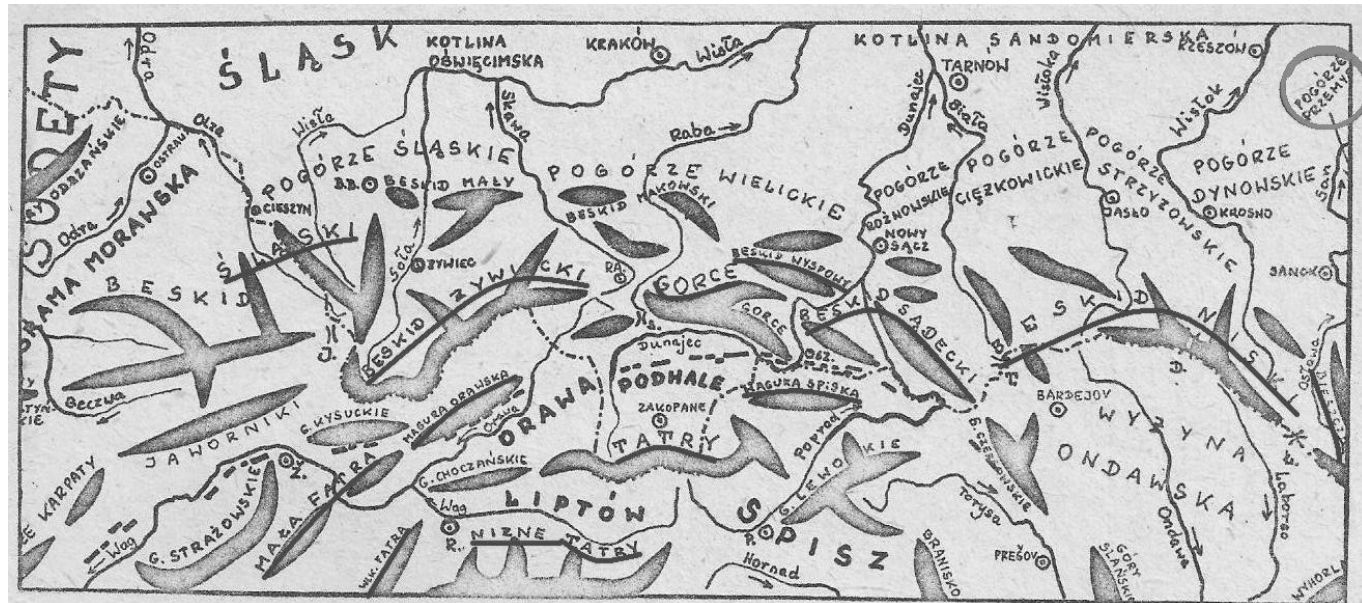
Akcja lato (1980-1988)

Akcja lato była corocznym wydarzeniem klubowym, na które składał się szereg wyjazdów krajowych i zagranicznych. Zgodnie z założeniem władz przez całe lata osiemdziesiąte - ich proporcje były zbliżone do stosunku 50/50.

Zdecydowana większość obozów zagranicznych odbywała się na terenie Czechosłowacji, Rumunii i Bułgarii ale zdarzały się również wyprawy do Hiszpanii czy Norwegii. Natomiast nie organizowano żadnych tras na terytorium Ukrainy, wchodzącej wtedy w skład ZSRR. Na taką możliwość trzeba było czekać do początku lat dziewięćdziesiątych gdy za naszą wschodnią granicą zmieniła się sytuacja polityczna. Wśród wyjazdów krajowych, królowały Tatry, Beskid Niski i Bieszczady, z kolei całkowicie omijano Beskidy Makowski i Mały.

W ciągu tytułowego dziesięciolecia zorganizowano ponad sto obozów wędrownych, przez które przewinęło się kilkaset osób. Z pewnością wiele z nich trafiło potem na kurs. Przez całą dekadę akcja lato stanowiła doskonałą reklamę i bazę rekrutacyjną.

Poniżej zamieszczam mapę ukazującą zasięg Akcji lato w Karpatach Zachodnich w okresie od roku 1980 do 1988:



Paryżanka w Lhasie

Józefina Świąćicka

Alexandra David – Néel (1868 - 1969) – nazwisko w niektórych kręgach kultowe, w innych – zupełnie nieznanne. Ta francuska odkrywczyni i orientalistka przez sto lat swojego życia zdążyła studiować na Sorbonie, wyjść za mąż i po pięciu dniach się rozwieść, odbyć niezliczone podróże do Azji – przemierzyła Sikkim, Chiny, Mongolię, Japonię, Koreę – i opisać swoje doświadczenia w ponad 20 książkach. Jej największym osiągnięciem pozostaje bez wątpienia przekroczenie przełęczy Dokar (5412 m. n.p.m.) na granicy Tybetu z Chinami, dzięki czemu jako pierwsza Europejka dotarła w 1924 roku do Lhasy. Miała wtedy pięćdziesiąt pięć lat.



Niespokojny duch Alexandry ujawnił się już w dzieciństwie. Jako mała dziewczynka uciekała niani; potem uciekała z pensji, gdzie usiłowano wpoić jej zasady właściwe panience z dobrego domu. Podczas wakacji nad morzem za pieniądze ze skarbonki kupiła sobie bilet na statek do Anglii i wróciła dopiero, gdy skończyły się jej oszczędności. W wieku 18 lat, spędzając z rodziną lato w Alpach wyrwała się spod opieki rodziców i przeszła pieszo przez przełęcz św. Gotarda. Po dwóch dniach odnaleziono ją po włoskiej stronie gór. (Pamiętajmy, że nie były to czasy, w których przyjęte było, by panienki z dobrych domów włóczyły się samotnie.)

Jej himalajskie włóczęgi były pochodną zainteresowań naukowych. Aleksandra mówiła o sobie: „Jestem budystką”. W istocie, całe życie poświęciła zgłębianiu religii Wschodu. Interesowała się nie tylko buddyzmem, ale też hinduizmem; nauczyła się sanskrytu specjalnie, by czytać święte księgi Hindusów.

Przyzwyczajona do wygodnego życia, dopiero po osiągnięciu dorosłości zmierzyła się po raz pierwszy z trudami podróży mało cywilizowanych zakątkach świata. Jej działalności nie można wprawdzie nazwać turystyką, ale opisy wędrówek Alexandry, gdy usiłowała przez kolejne przełęcze przedrzeć się do Tybetu, mimo woli każą się porównywać z tą dzielną kobietą, która z paryskiego apartamentu – z krótkim przystankiem na deskach teatru, przez jakiś czas wykonywała bowiem zawód... śpiewaczki operowej – trafiła w podniebną krainę smaganą śniegiem i wiatrem. Wędrując przez Himalaje, mieszkała w jaskini, piła wodę ze śniegu (lub ssła śnieg, gdy nie znalazła dość nawozu, by rozpalić ogień) i chodziła w wiatrem podszytym stroju buddyjskiej mniszki, by – jak mówiła – hartować organizm.

W Internecie jest dostępny wywiad z panią Néel, przeprowadzony pod koniec jej życia (przeżyła prawie 101 lat; po setnych urodzinach wystąpiła o odnowienie paszportu, by móc znów wybrać się w podróż)⁸. Z pełną przytomnością umysłu odpowiada w nim na infantylne pytania dziennikarza, który zdaje się nie dorównywać jej intelektem. Zapytana: dlaczego wybrała pani Azję jako cel swoich podróży, Alexandra David – Néel odpowiada: To jest pytanie filozoficzne. Podróże nie mają tu nic do rzeczy. ■

⁸<https://www.youtube.com/watch?v=LAbix8hg0-Y> – materiał w języku francuskim

Chiny mniej znane

Grzegorz Kaczmarek

Katarzyna Pawlak – absolwentka socjologii na Uniwersytecie Warszawskim, tłumacz przysięgły języka chińskiego i autorka książki „Za Chiny Ludowe”, opisującej jej dwuletni pobyt w Chinach.



Grzegorz Kaczmarek: Skąd wzięło się zainteresowanie Chinami?

Katarzyna Pawlak: Przypadkiem. Jestem absolwentką socjologii na UW. Robiliśmy badania terenowe w Wietnamie. Będąc na północy tego kraju mogłam rzucić okiem na Chiny. Odczułam przyciąganie z tamtej strony i zaczęłam uczyć się języka chińskiego, a z czasem odmieniłam życie zawodowe.

G.K.: Ile czasu zajęło Ci nauczanie się podstaw chińskiego? No właśnie - „język chiński” - czy to jest właściwe określenie?

K.P.: Języków chińskich jest wiele. W ich obrębie są cztery grupy, między którymi mamy dialekty mandaryńskie. Z jednego z nich wywodzi się oficjalny język chiński. Aby nauczyć się jego podstaw, potrzeba 2-3 lat i wtedy jesteś w stanie się dogadać, ale gdy zaczyna się wchodzić w niuanse, to zajmie to bardzo dużo czasu. Na ogarnięcie wszystkiego chyba nie starczyłoby życia.

G.K.: Gdzie i jak długo mieszkałaś w Państwie Środka?

K.P.: Okres opisany w książce spędziłam w Szanghaju i Pekinie, a przedtem mieszkałam m.in. rok na Tajwanie.

G.K.: Udało się nawiązać jakieś kontakty?

K.P.: Mam wrażenie, że w Chinach jest z tym trudniej niż w innych krajach. Trudno jest przełamać pierwsze lody, ale ktoś, kto mówi po mandaryńsku, jest traktowany jako potencjalny partner do rozmowy.

G.K.: Jeśli już jesteśmy przy kontaktach, to jak to wyglądało z internetem?

K.P.: Trudno jest to wytłumaczyć w jednym zdaniu. Internet jest w dużym stopniu kształtowany przez władze. Trudno w nim znaleźć pewne słowa i nie można wejść na zachodnie serwisy typu Facebook czy You Tube. Chiński internet ma swoje platformy i to z nich korzystają Chiń-

czy. W związku z tym dla nich powyższe problemy nie występują lub są znacznie mniej odczuwalne.

G.K.: Czy człowiek „z innego świata” przestaje być w Chinach czymś niezwykłym?

K.P.: W Chinach wielkomiejskich nie. Natomiast na wsi jak najbardziej jest obiektem zainteresowania. Nie raz spotykałam się tam z życzliwą ciekawością.

G.K.: Jakie jest podejście Chińczyków do świata zachodniego?

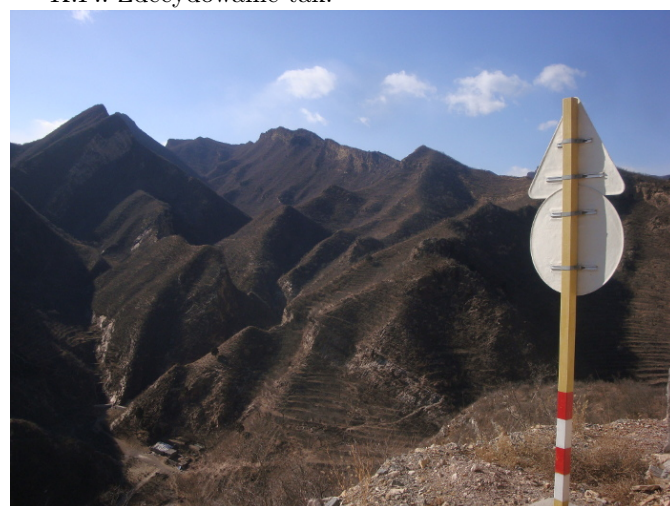
K.P.: Myślę, że jest złożone. Są żale za wojny opiumowe⁹, wiele osób nie ufa demokracji postrzegając ją jako system służący do zniewalania narodów. Z drugiej strony jest też fascynacja i ciekawość. W chwili obecnej cały świat przeżywa „najazd” turystów z Chin zainteresowanych markami z wyższej półki.

G.K.: Czy jest jakiś kraj na globie, którego Chińczycy bardzo nie lubią?

K.P.: Jest to Japonia. Wiąże się to z bardzo bolesną historią. W czasie drugiej wojny światowej, która zaczęła się tu wcześniej¹⁰ Chińczycy byli poddani strasznym cierpieniom – przykładowo Rzeź Nankińska z setkami tysięcy ofiar¹¹. Wystarczy jakiś drobiazg, żeby od czasu do czasu zaognić konflikt. Trzeba powiedzieć, że Tokio i Pekin bardzo umiejętnie sterują tym gniewem publicznym.

G.K.: Czy jest to atmosfera gorsza od tej na linii Moskwa – Warszawa?

K.P.: Zdecydowanie tak.



G.K.: Co Chińczycy wiedzą o Polsce i z czym im się ona kojarzy?

K.P.: Polska nie ma swojego wizerunku w Chinach i jest to dla nas szansa. Są 2-3 osoby, z którymi kojarzy się nasz kraj – Skłodowska, Chopin i Kopernik. Starsi ludzie wie-

⁹XIX wieczne wojny kolonialne Wielkiej Brytanii i Francji z cesarskimi Chinami mające na celu wymuszenie ustępstw handlowych, m.in. w handlu opium.

¹⁰Zmagania japońsko-chińskie trwały od 7 VII 1937 do 9 IX 1945.

¹¹Masakra ludności chińskiej w Nankinie (ówczesna stolica Chin) została dokonana grudniu 1937 i styczniu 1938 przez siły japońskie dowodzone przez generała Iwane Matsui. Był to jedno z największych ludobójstw dokonanych przez wojska japońskie w trakcie drugiej wojny chińsko-japońskiej.

dzą, że byliśmy w jakimś związku z Rosją i niektórzy biorą nas za kraj socjalistyczny. Młodzi ludzie w ogóle nie mają takich skojarzeń.

G.K.: A chińskie elity?

K.P.: W tych kręgach Polskę uznaje się za przykład udanej transformacji gospodarczej i politycznej. Tuż po katastrofie smoleńskiej w gazetach chińskich byliśmy prezentowani jako kraj praworządny, gdzie po tragicznej śmierci części elity kierowniczej nie zapanował chaos.

G.K.: Jeśli już jesteśmy przy skojarzeniach, to czy przypadkiem nie jest przejawem wizji Chin jako „zamordystycznego” państwa dążącego do zajęcia miejsca Stanów Zjednoczonych?

K.P.: Tego typu wizerunki zawsze są fałszywe. Chińczycy zaklinają się, że nie chcą wejść na miejsce USA. Zarówno w Azji Centralnej jak i w Afryce chwali się Chiny za niewymuszanie zmian i udzielanie realnej pomocy. Pekin podkreśla równość między krajami.

G.K.: Zmienia się coś w relacjach władza – obywatel?

K.P.: Zmiany zachodzą nieustannie. Najistotniejszą z nich było pojawienie się internetu i portali społecznościowych. Ludzie patrzą władzy na ręce. Obywatel staje się coraz bardziej aktywny.



G.K.: Jakie są największe problemy Chin, a jakie przeciętnego Chińczyka?

K.P.: Zwykły Chińczyk ma olbrzymi problem z kupnem mieszkania, służbą zdrowia, edukacją czy zanieczyszczeniem środowiska. Ogrom kraju czyni te kłopoty trudnymi do rozwiązania. Miasto o średnicy siedemdziesięciu kilku kilometrów z wieżowcami, przy których nasze wyglądają bardzo skromnie, nie jest tu niczym niezwykłym. Władze muszą i chcą wdrażać reformy systemu opieki zdrowotnej i emerytalnej. Trwa walka z korupcją i starzeniem się społeczeństwa (zmiana „polityki jednego dziecka”).

G.K.: Istnieją jakieś punkty zapalne oprócz Tybetu?

K.P.: Są ogromne nierówności ekonomiczne między wschodem i zachodem Chin, na które nakładają się odmienności kulturowe. Dobrymi tego przykładami są Ujgury¹² i Mongolia Wewnętrzna.

G.K.: Jak radziłaś sobie z tamtejszymi odmiennościami kulturowymi?

K.P.: Były sfery, w których funkcjonowałam całkiem dobrze, ale i takie, gdzie występowały tarcia, przykładowo podejście do edukacji na uniwersytecie.

G.K.: Co było najbardziej zaskakujące?

K.P.: Mimo tego że miałam dobrą, jak na polskie warunki, znajomość języka, kultury i historii Chin, nie mogłam powiedzieć, iż dobrze sobie radzę.

G.K. Jakie rejony zwiedziłaś? Jest coś, co szczególnie polecasz?

K.P.: Zwiedziłam prawie wszystkie, oprócz Tybetu. Najbardziej polecam Yunnan. Jest to pograniczna prowincja, w której mieszka aż 27 mniejszości stanowiących większość tutejszej populacji. Występuje tu bardzo duże zróżnicowanie kulturowe i geograficzne.

G.K.: Czy możesz coś powiedzieć o chińskiej kuchni? Może coś polecasz?

K.P.: Istnieje wiele chińskich kuchni, ale moją ulubioną jest syczuańska. Jest pikantna, ale ta pikantność nie przesłania bogactwa smaków. Mogę szczególnie polecić gorące kociołki. Polega to na tym, że grono ludzi zasiada przy kociołku i każdy wrzuca do niego to, co chce. Zawsze wychodzi z tego coś fajnego.

G.K.: Czy w Chinach turysta może natknąć się na jakieś ograniczenia w podróżowaniu?

K.P.: Czasem występują ograniczenia w podróżowaniu do Tybetu, a poza tym nie ma problemów i jest bezpiecznie. W Chinach nie ma bezmyślnej agresji, jest duża kontrola społeczeństwa i rodziny. Będąc tam, nie bałam się wychodzić wieczorem na ulice w dużym mieście.

G.K.: Czego nie powinno się robić?

K.P.: Jeśli będziemy trzymać się uniwersalnych zasad „dobrego smaku”, to wszystko będzie w porządku.

G.K.: Czy istnieje tam zorganizowana bądź indywidualna turystyka górską i jakakolwiek infrastruktura z nią związana?

K.P.: O górach nie mogę zbyt wiele powiedzieć. Generalnie większość dostępnych gór leży na terenie parków narodowych. Wstęp do nich kosztuje naprawdę sporo. W niektórych z nich można spotkać udogodnienia budzące mieszane uczucia, jak np. winda na bardzo wysoko umieszczony punkt widokowy.



G.K.: Słyszałam, że wśród Chińczyków bardzo popularne jest wypróbowanie swych sił poprzez

¹² Lud turecki wyznający islam żyjący w Chinach północno-zachodnich.

przemierzanie Wielkiego Muru...

K.P.: Wielki Mur ma odcinki turystyczne, ale stanowią one minimalny procent tej budowy. Większość jest zaniedbanych i tam pojawiają się ludzie chodzący ze sprzętem i nocujący w starych strażnicach. Mur jest bardzo zróżnicowany, w niektórych miejscach jest ledwo widoczny, gdyż pozarastały go drzewa. Są też miejsca bardzo niebezpieczne, gdzie co roku giną ludzie.

G.K.: Co Cię pociąga w Chinach?

K.P.: Przeplatanie się historii ze współczesnością.

G.K.: Jakiś przykład?

K.P.: Pewien młody chłopak z inteligenckiej rodziny miał podchodzić do egzaminów wstępnych na studiach. Jako że wszyscy podchodzili do sprawy bardzo poważnie, przyszły student udał się wraz z rodzicami do wróżby. Ten stwierdził, że jego imię nie gwarantuje mu sukcesu, więc młodzieniec po prostu je zmienił. I rzeczywiście dostał się na uniwersytet.

G.K.: Chciałabyś tam zamieszkać na stałe?

K.P.: Zależy gdzie. Gdybym miała takie możliwości, to pomyślałabym o tym poważnie. ■

Siekierzada

Damain Dąbrowski,

W sercu Bieszczad, w miejscowości o nazwie Cisna, nie przy głównej drodze, a trochę na uboczu, znajduje się pewna knajpa. Knajpa zwie się Siekierzada i jest bardzo przyjemną knajpą. Niektórzy nawet stwierdzą, że jest jedną z okolicznych atrakcji i błędem jest tam nie zajrzeć! Aby Was od tego błędu uchronić, pokrótce opisałem, na czym polega urok tego miejsca.



Zacznę od tego, co pierwsze rzuca się w oczy: wystrój. Łatwo zauważyć dwa jego motywy przewodnie: diabły oraz siekiery. Po całym barze rozsiane są dziesiątki większych i mniejszych drewnianych rzeźb przedstawiających diabły – ich rogi często służą za haczyki do wieszania kurtek. Są one również bohaterami wielu obrazów, którymi pokryte są całe ściany. Jelenie czaszki z okazałymi porożami umieszczone tu i ówdzie również trafnie wpisują się w tę konwencję – szczególnie kiedy znajdują się w miejscu głowy nad wiekowymi mundurami. Co do siekier, to doprawdy trudno zliczyć, ile ich tam jest. Część wisi na ścianach, część wbita jest w stoły – całość zaś sprawia bardzo osobliwe wrażenie.

Wielkie wrażenie wywarła na mnie swego rodzaju wystawa znajdująca się w jednej z sal. Składa się ona z czarno-białych zdjęć portretowych miejscowych włóczęgów i pijacków. Na pierwszy rzut oka niby nic, ale jak się w te zdjęcia wpatrzeć, to te brzydkie, brodate twa-

rze zaczynają hipnotyzować. Jeśli do tego dodać panujący w lokalu półmrok, powoli zaczynamy czuć nastrój tego miejsca.

Nieodłączną częścią Siekierzady – przynajmniej w sezonie turystycznym – są liczne koncerty. Występują na nich raczej mało znane zespoły, ale zazwyczaj prezentują naprawdę wysoki poziom. Przeważnie grany jest blues, rock, poezja śpiewana, folk, czasem jakieś cięższe brzmienia. Za wstęp płaci się 5 zł lub co łaska – warto. Zainteresować może niektórych też to, że nad barem znajduje się „Galeria nad Siekierzadą” – niewielka galeria obrazów, w której odbywa się część koncertów.

Z bardziej przyziemnych kwestii – ceny są przyzwoite, za normalne piwo zapłacimy 6 zł, za takie specjalne z etykietką Siekierzady 8 zł. Szczególnie polecam tamtejsze grzane wino. Kosztuje 8 zł i za tę cenę dostajemy 0,5 l (naprawdę: pół litra!) gorącego trunku doprawionego goździkami, plasterkami pomarańczy i masą innych rzeczy. Niebo w gębę, ale nie polecam się spieszyć – potrafi nieźle sieknąć.



Chciałem wam przekazać tak naprawdę jedno: Siekierzada jest świetnym miejscem na spędzenie wieczoru ze znajomymi po całodziennym targaniu po górach. Kogo miałem przekonać, tego przekonałem, kogo mi się nie udało – jego strata. Być w Cisnej i nie zajrzeć do Siekierki, to jak zabrać małemu dziecku cukierka – tak się po prostu nie robi. ■

Góry Tokajsko-Słańskie

Grzegorz Kaczmarek

Wyobraźcie sobie ponad stukilometrowe pasmo górskie z oszkalowanymi trasami i infrastrukturą dla turystów „namiotowych” praktycznie puste w samym środku sezonu letniego położone w sercu Europy Środkowo-Wschodniej. Polska, Ukraina, Rumunia? Nie, Słowacja i to wschodnia, rzekomo mniej atrakcyjna dla „górolazów”. Czyżby chodziło o jakieś pograniczne pasmo? No nie zupełnie...



Mam na myśli Góry Tokajsko-Słańskie oddzielające Kotlinę Koszycką od Niziny Wschodniosłowackiej. Nie jest to pasmo o imponujących wysokościach gdyż jego najwyższy szczyt Šimonka liczy 1092 m.n.p.m. Słanské vrchy jak nazywają je Słowacy są mocno zalesione, ale nie brak tu miejsc gdzie można podziwiać imponujące panoramy. Charakter opisywanego pasma jest zróżnicowany, znajdziemy tu zarówno skalne wychodnie jak i typowe beskidzkie grzbieciki porośnięte lasem. Po drodze trafiają się też atrakcje takie jak imponujące ruiny zamków czy gejzery.

Zdecydowanie bardziej uczęszczana jest węgierska część pasma znana jako Góry Zempléńskie (węg. *Tokajsi-*

hegység lub *Zempléni-hegység*). Są to góry niższe, bardziej skaliste i lepiej zagospodarowane co bynajmniej nie odbija się ujemnie na ich atrakcyjności. Jest wręcz odwrotnie między innymi dlatego, że ich stoki wchodzi w skład tokajskiego regionu winiarskiego. Atrakcyjności całemu pasmu nadaje jego kontekst kulturowo-historyczny objawiający się w tajemniczych ruinach zamczysk oraz - urokliwych wsiach i miasteczkach.



Na całej długości góry Tokajsko-Słańskie usiane są miejscami, gdzie można nabrać wodę bez schodzenia do jaru, rozpalić ognisko w kamiennym kręgu i rozstawić namiot lub przespacerować się w chatce. Nierzadko wszystkie te udogodnienia występują w jednym miejscu. Zazwyczaj są ulokowane na szlakach lub w ich najbliższym otoczeniu.

Chatki, miejsca na ognisko i źródła wody oznakowane są odpowiednio drogowskazami, znakami czerwonych trójkątów i niebieskich półkul malowanych na białym tle.

Jak już wspomniałem, rejon ten nie jest specjalnie oblegany przez turystów. Tylko wpisy w notesach znajdujących się w skrzyneczkach przytwierdzonych do węzłowych drogowskazów świadczą o tym, że czasem ktoś tutaj zawita. Generalnie tłumów nie ma. W ciągu tygodniowego pobytu w słowackiej części Gór Tokajsko-Słańskich spotkałem zaledwie kilku turystów. Nieco „tłoczniej” zrobiło się na Węgrzech lecz i tu nie natknąłem się na ceprostrady. Właściwie jedynym miejscem, gdzie uświadczylem tłumów była wąskotorówka w środkowej części Gór Zempléńskich.

Wyjazd w Słanské vrchy jest też dobrą okazją do zwiedzenia miast, do których dojedziecie z Warszawy - przepięknych Koszyc bądź urokliwego Preszowa. Podsumowując, jeśli macie finanse, czas i czujecie zew przygody ruszajcie w Góry Tokajsko-Słańskie.



Nawet najdłuższa droga zaczyna się od włożenia skarpetek

Józefina Świąćicka

„I jeszcze jedno, mycie stopy” – powiedziała nam, kursantom, Marta Cobelto przed wyjazdem na Wiosenne 2013. Na te słowa, w mojej głowie pojawiło się wielkie „?!?”. Jednakże podczas wyjazdu okazało się, że ta uwaga nie była całkiem od rzeczy. Od komfortu stóp zależy komfort wędrowca i jeżeli się o nie odpowiednio nie zatroszczymy, to dłuższa wycieczka może okazać się mordęgą.

Kontynuując temat mycia, to na Wiosennym usłyszałam od kadry pełne dezaprobaty uwagi o osobach, które marnują cenny czas na mycie, zamiast wykorzystać go na sen. Moim zdaniem zimna woda Oslawy pozbawia zmęczenia równie skutecznie, jak drzemka. Ale może trzeba było trzymać się oficjalnej ideologii panującej na przejęciu, bo kąpiele nic mi nie pomogły, i tak nie zaliczyłam. Stopy jednak warto od czasu do czasu umyć, jak również zmienić skarpetki. Skarpetka, którą można gwoździe wbijać, jest bardzo niekorzystnym środowiskiem dla naszej stopy, bo materiał jest twardy, zbity i może powodować obtarcia i odparzenia. Dlatego mówi się, że prawdziwy turysta ma ze sobą zawsze zapasową parę. Na Sylwestrze w Zakopa-

nem zrobiłam taki test: poszliśmy na wycieczkę na Sarnią Skalę, ja niestety w ciężkich trekach, a do tego w „miej-skich” skarpetkach (Krupówki zobowiązują). W połowie trasy stwierdziłam, że dobrze byłoby je zmienić, rzuciłam więc: „Kto tu jest prawdziwym turystą – ręka do góry!” Nikt nie podniósł, i dobrze, bo skarpetek nikt ze sobą nie miał.

Jest parę sztuczek, które mogą uczynić długie marsze znośniejszymi dla stóp. Polecam masaż. W przypadku wyjazdów takich, jak wiosenne, nie zaszkodzi pomasażować sobie stópki nawet co drugi postój. Oprócz tego, długotrwałe moczenie w wodzie zmiękcza skórę i zmniejsza wrażenie obitych pięt. Jeżeli chodzi o obtarcia, to we wczesnej fazie pomaga posypanie pięty zasypką dla niemowląt przed założeniem skarpetek.

Jeżeli, czytając to wszystko, pukasz się w głowę, to znaczy, że jesteś szczęśliwym posiadaczem odpornych i niewrażliwych stóp, lub bardzo dobrych butów. Jest jednak rzesza ludzi, których bolące i zmęczone stopy potrafią skutecznie zniechęcić do turystyki pieszej. Mam nadzieję, że te rady pozwolą im nadal czerpać przyjemność z wędrówek. ■

Kora Brzozowa

Grzegorz Bokota

Na kursie instruktorzy uczą, jak rozpalić ognisko za pomocą świeczki, ale praktycznie wszyscy słyszeli, że kora brzozowa też jest dobra w tym celu. To prawda. Jeżeli ma się wystarczająco dużo kory brzozowej, to łatwiej jest rozpalić ognisko.

Zacznę od krótkiego rozpisania wad i zalet kory.

Wady:

- Wysuszona łatwo się kruszy.
- Mokra w torebce może zacząć się psuć.
- Zajmuje więcej miejsca niż świeczka.

Zalety:

- Można ją znaleźć w lesie.
- Pali się nawet jak jest mokra (ale wysuszona lepiej).
- Pozwala podłożyć ogień pod większą powierzchnią (z cienkich pasków można zrobić „lonty”, za pomocą których można przenieść ogień)

Patrząc na powyższe właściwości, nie warto zabierać większych jej ilości z domu, ale jeśli spotkasz na szlaku kawałki brzozy (te nieprzyczepione do systemu korzeniowego), to warto wziąć trochę jej kory. I tutaj bardzo ważna kwestia. W tym tekście kora oznacza wierzchnią, białą, „pergaminową”¹³ warstwę. Tak więc zrywając korę, należy usunąć wszystkie zdrewniałe kawałki. Najlepiej zrobić to nacinając korę i ciągnąc po obwodzie pniaka, z którego ściągamy.

Druga kwestia to ilość kory. Jeżeli drewno jest choć trochę wilgotne, to należy pod nim umieścić większy kawałek kory, najlepiej podarty w wąskie paski. Dodatkowo, kora potrafi palić się dość szybko. Dlatego najpierw odkładamy korę małymi i średnimi patyczkami, a dopiero potem podpalamy (w tym celu możemy użyć cienkiego paska jako lontu).

Dobrze użyta kora pozwala zaoszczędzić kilkanaście minut przy rozpalamiu. Jeżeli użyjesz odpowiedniej jej ilości, ognisko zawsze się zapali. Sam byłem raz świadkiem zagotowania menażki wody na samej korze¹⁴. Trwało to kilka minut.

Mam nadzieję, że ta wiedza kiedyś Ci się przyda. ■

¹³na korze można również pisać

¹⁴dużych ilościach

Poradnik trapera

Maciek Szuba

Poza mapą i kompasem

Orientacja w terenie jest umiejętnością starą jak świat, ale najstarsze jej techniki uciekają w niepamięć, gdy łatwiej jest skorzystać ze zdobyczy technologii. Nawigacja za pomocą słońca, cienia i gwiazd jest jak najbardziej możliwa i skuteczna, choć trzeba nieco przestawić myślenie, biorąc poprawkę na rotację ekliptyki i ciągły ruch ciał niebieskich.

Tymczasem starzy kanadyjscy traperzy pamiętają pięć technik, dzięki którym można skutecznie swoją nawigację w terenie – uwzględniając, że mapa jest jak najlepszy przyjaciel po trzech głębszych, czyli można na niej polegać, ale nie należy ślepo wierzyć w każde słowo.

Pierwsza z nich to hand rail, czyli poręcz. Może nią być droga, strumień, grzbiet, gazociąg, linia wysokiego napięcia, cokolwiek, czego można użyć jako linii orientacji. Jeżeli chcemy się przemieścić jak ten pociąg z zadania z fizyki – z A do B (A jest w Norwegii, nie wiem, gdzie jest B), patrzymy, czy akurat jakaś poręcz nie biegnie w tym samym kierunku. Nie musimy iść wzdłuż niej – wystarczy, że zachowa się z nią kontakt. Jest grzbiet, bo linia koron drzew opada i widać prześwity, jest pole, bo zaorane. Idąc wzdłuż potoku wystarczy, że słyszy się jego szum, tak samo jest z jedyną drogą przecinającą las – widać i słyszy samochody. W ekstremalnych sytuacjach można wyczuwać ścieżkę podeszwami stóp, jako że ubita dróżka jest twardsza od otaczającego ją terenu. Mamy wiele zmysłów, a dzicz pozwala na uruchomienie ich pierwotnych funkcji. Warto też wspomnieć, że – jak to z poręczą – trzeba wiedzieć, kiedy się jej puścić.

Drugim narzędziem jest bowiem turning point – nawrotka. Człowiek omylną istotą jest, a tę omylną można przyjąć jako założenie podczas planowania trasy. Co będzie, jeżeli pójdę za daleko? Wystarczy popatrzeć, co tam dalej czeka – spadoryj, strumień, droga, a może biuro ABW? Teraz, mając taki punkt w pamięci, w chwili, kiedy się na niego natknie, nie ma paniki, bowiem pomimo tego, że poszło się dalej niż się chciało, wiemy, gdzie jesteśmy i możemy elastycznie dopasować dalszą trasę.

Co jednak zrobić, gdy droga do naszego miejsca docelowego jest topograficznym polem minowym? Jak prowadzić, jak żyć? Tu z pomocą przychodzi technika numer trzy, czyli aiming off – celowe zbaczanie z trasy. Patrzymy, gdzie jest punkt, do którego jesteśmy w stanie dotrzeć w miarę pewnie, aby dopiero z niego atakować główny cel. Można w ten sposób nadłożyć drogi, ale przynajmniej ma się pewność gruntu pod stopami. Prosty rachunek wykazuje, że lepiej pójść nieco dłużej, wiedząc, gdzie się jest, niż leżeć w manowce i ryzykować buraka, który może kosztować o wiele więcej czasu. Nie wspominając już o komforcie psychicznym.

Tyle, jeżeli chodzi o parcie wprzód. Cóż jednak uczynić, gdy ma się założony obóz, do którego chce się wrócić po całonocnej wycieczce? Skąd pewność, że nie znając terenu nie przejdzie się obok niego, przestrzeli i pójdzie

w siną dal? Tu pomaga technika numero quattro, linia startowa, która ma działać jak rant stołu bilardowego. Linia tą może być grzbiet, droga, cokolwiek – chodzi o to, by ją rozpoznać i użyć jej jako poręczy, która doprowadzi do celu jak po sznurku. To wariant nawrotki, z tym, że umieszczany w punkcie startowym. Ale jest tu problem! Gdy już wróci się do linii startu, w którą stronę pójść? W lewo, w prawo, a może w górę, wleźć na drzewo i zapłakać rzewnie?

Otóż jeden problem to nie problem – ultima, finita, cinca technika piąta to blazing, czyli stary, dobry punkt orientacyjny. Punktem może być charakterystyczne cokolwiek: skała, ambona, widoczny szczyt górski, bocianie gniazdo, charakterystyczne drzewo (na przykład takie, które wcześniej sprytnie oznaczyło się różową wstążką). Orientując się za pomocą takiego obiektu o położeniu geograficznym ustalonym niczym punkt geodezyjny, można się szybko odnaleźć w sytuacji prawo/lewo. Nie ma punktu? Ha, dwa problemy to już problem.

Ale jeden problem to nie problem.

Chleb z ogniska

Gotowanie na świeżym powietrzu jest świetną frajdą i wyzwaniem dla tych, którym niestraszne są braki w sprzęcie – biwak jest miejscem, gdzie najlepszymi narzędziami są wiedza, wyobraźnia i umiejętność improwizacji z wykorzystaniem tego, co akurat jest pod ręką. Sam wolę porządny, ostry nóż od worka gadżetów ze sklepu turystycznego – umiejętności są zawsze w głowie i rękach, a co najlepsze – nie ciążą w plecaku dodatkowymi kilogramami.

Na ognisku można zrobić wszystko, czego tylko dusza zapagnie – tym razem podzielę się sposobem pieczenia chleba. Zajmuje to nieco więcej, niż regulaminowe dwie godziny, ale, jak to się mówi – wy macie zegarki, my mamy czas.

Żeby upiec chleb, potrzeba pieca i ciasta. Tak szczerze mówiąc, to bez pieca też da radę, ale o tym później. Ciasto ukazuje inwencję swego twórcy – do chleba można wrzucić wszystko, od pełnych ziaren słonecznika, dyni czy bułki po oliwki albo siekany boczek. Nic nie stoi na przeszkodzie temu, by stworzyć słodkie ciacho – wszystko zależy od dodatków. Najprostszy przepis opiera się na proszku, który można przygotować przed wyruszeniem w drogę. Mąka, mleko w proszku, sól i soda oczyszczona. Do tego wlewa się wodę, zagniata i wrzuca do pieca. Wygodniejsza opcja zakłada mleko i drożdże, wtedy jest zdrowiej i smaczniej. Do mąki trzeba ciapnąć drożdży i, wyrabiając, dolewać mleko – tyle, ile mąka wypije, aż ciasto osiągnie odpowiednią jednność i nie będzie się przylepiać do rąk. Później trzeba dać drożdżom popracować, najlepiej w cichym i ciepłym miejscu, w zacisznej menażce pod „ściereczka” (pod ręką będzie pewnie arafatka). Znakomicie sprawdza się tu kąt ogniska – rosnące ciasto dobrze jest postawić nad ziemią, żeby nie ciągnęło z niej zimna, i osłonić ekranem odbijającym ciepło ognia. Karimata działa w sam raz. Ewentualnie można też rosnące ciasto zawinąć w folię (NRC-ty jeszcze

nie wypróbowywałem, ale do odważnych świat należy).

Ciasto na słodko? Żaden problem, wystarczy do mąki dorzucić jajek (albo jajek w proszku, dostępne wśród artykułów dla alergików oraz przemysłowo), kakao, cukru, miodu, co tam jeszcze w duszy gra – byle nie za dużo, bo ciacho będzie ciężkie i wyjdzie zakalec. Celowo nie podaję proporcji, kierując się starą szkołą kulinarną podkarpackiej wsi, gdzie jedynymi przyrządami pomiarowymi bywają oko, ręka, rozsądek i doświadczenie. To ostatnie najlepiej zdobywać w praktyce, polecam!

Stworzenie pieca w warunkach polowych nie powinno nastroczać wielu trudności – potrzebna będzie dwuczęściowa menażka z pokrywką albo menażka i gar. Większy pojemnik będzie służyć za piec właściwy, a mniejszy za blachę. Na dnie pieca układamy kilka kamieni (suchych, mokre trzaskają w wysokiej temperaturze), a na nich kładziemy blachę. Między pojemnikami musi być przestrzeń, jak w zwyczajnym, kuchennym piekarniku. Spód blachy dobrze jest podsypać mąką, wtedy sam chleb nie spali się aż tak bardzo. Wkładamy ciasto do blachy, zakrywamy całość pokrywką i umieszczamy piec w żarze, podsypując węgielki także na górę pieca, aby zapewnić w miarę jednorodną temperaturę wewnątrz.

Kwestia czasu też pozostaje otwarta – warunki ogniskowe są mniej kontrolowane od laboratorium kuchennego, więc chleb jest gotowy wtedy, kiedy się upiecze. Mimo wszystko warto nie przesadzać ani w jedną, ani w drugą stronę. W zbyt wysokiej temperaturze ciasto z zewnątrz się zwęgli, a w środku pozostanie surowe, w zbyt niskiej będzie się piec przez wieki. Generalnie rzecz ujmując, to, że się upiekło, oznajmia kuszący zapach roznoszący się wokół ogniska.

Jeżeli pieca brak, da radę i bez. Wtedy można upiec chlebek na patelni (pokrywcę albo i kamieniu), kiju, a w razie tragedii i bezhołowa twórczego da radę i w samym popiele, tylko troszkę więcej trzeba będzie oskrobać.

Opcja patelniowa: „patelnię” pokrywamy warstwą tłuszczu, ciasto zaś trzeba nieco spłaszczyć. Musi być na tyle cienkie, żeby bez problemu upiekło się w środku – będzie bardziej przypominać chleb pieczony na Bliskim Wschodzie niż polskie bochenki, ale takim przecież łatwiej jest się dzielić, czyż nie? Placek ładuje na patelnię, którą należy umieścić pod kątem do płomieni i żaru, opierając ją z tyłu na pewnej podpórce – jak zdjęcie na biurku. Pieczosmaży się jak wyżej, póki nie będzie gotowy.

Opcja kijowa, zwana także gadem: bardzo prosta i przyjemna zarazem. Potrzebny jest do niej kij, jak

na kielbasę. Trzeba go oczyścić, oskrobać, żeby czysto w kuchni było; z ciasta zaś uformować długi, wąski walec. Takiego węża grubości mniej więcej marchewki. Gada owija się dookoła kija gęstymi splotami, po czym piecze nad ogniem jak rzeczoną kielbasę. W jej towarzystwie smakuje jeszcze lepiej. Opcja popielnik: z braku laku dobry kit, ciasto od biedy można upiec na gołych popiołkach. Żeby jednak nie było tak bogate w węglan drewna, można użyć łupin jako foremek: w ten sposób wydrażona cebula staje się wyśmienitą formą na muffinkę z mięsem, a skóra zdarta żywcem z pomarańczy otrzymuje drugie życie jako forma słodkiej bułki. Oczywiście sama forma nie dotrwa do końca, w międzyczasie szernieje i zmieni się w brykiecik, ale za to środek będzie jak najbardziej jadalny.

Jako bonus dorzucę jeden z moich ulubionych sposobów urozmaicania pieczonych ziemniaków – potrzebne będą nóż, jajko oraz ziemniak właściwy. Nożem (bez niego jak bez ręki) ścinamy bok ziemniaka, tworząc pokryweczkę albo kapelusz, jak kto woli. Teraz należy wydłubać wnętrze bulwy, tak, by stworzyć miszkę, w której zmieści się jajko. Wbija się je do środka, zamyka ziemniaka pokryweczką (żeby nie odpadła, można dla pewności przyszpilić ją wykałaczką, czyli drzazgą) i umieszcza wśród innych kartofli wesoło zaludniających ogniskowy żar.

Smacznego!

I w lesie da radę złowić śledzia

Nie będę Adamem Sładowym, jeżeli w ramach sekcji zrób to sam powiem, że zgubione śledzie można zastąpić struganką własnej roboty. Wszędobylska leszczynka pozwala uzupełnić braki w stanie sprzętu, ale świeże, wilgotne wewnątrz drewno nie będzie służyć wiecznie i jego mała wytrzymałość da się we znaki podczas dłuższej wędrówki. Jest jednak sposób, by je utwardzić. Z pomocą przychodzi, jak zwykle, uniwersalne ognisko.

Wiecie zapewne o utwardzaniu drewna w ognisku, tak przecież traktuje się końce dziad. Ale i tu działa prawo Murphy'ego – każdą czynność, tak też i tą, można wykonać dobrze, albo spartaczyć.

Śledzie utwardza się, wkładając drewniane szpikulce głęboko w najniższe warstwy popiołu pod ogniskiem, pod samym żarem, gdzie wciąż jest gorąco, ale nie ma już dopływu tlenu. Dzięki temu można skutecznie pozbyć się wilgoci nie niszcząc efektu swojej pracy. Najłatwiej zweryfikować twardość kołka po odgłosie, jaki wydaje – wyraźnie słychać różnicę między dźwiękiem wydawanym podczas stukania przez świeże, żywe kijki, a suche i twarde śledzie. ■

Piosenka z Przeszłości

Tango z garbem

Grzegorz Bokota

W poprzednim numerze przytoczyłem słowa piosenki „Rajd dookoła świata”. Pierwsze słowa tamtej piosenki odnosiły się do sytuacji, którą często można spotkać na wyjazdach kursowych. Teraz chciałem się podzielić piosenką, która może opisywać uczucia osób, które dawno temu robiły kurs.

Z tą piosenką zapoznałem się, tak jak z opisaną

w poprzednim numerze, na nagraniach z Bazuny¹⁵. Była umieszczona na płycie „Perełki Bazuny”.

Piosenka pod tytułem „Tango z Garbem” została napisana przez Andrzeja Wierzbickiego. Jest on autorem i wykonawcą wielu znanych piosenek, takich jak: „Ballada o świętym Mikołaju”, „Beskidzki sklep”, „W Beskidzie”. Jeżeli ktoś ich nie zna, polecam. Do wszystkich da się znaleźć nagrania w internecie.

Dawno minęły czasy, gdy matka łyzy kryjaci	A d D7 g
w kącie z cicha ronione	D7 g
Wsuwała chyłkiem ci do plecaka bułeczki	A A7 d E
z serem i salcesonem.	E7 A A7
Tak wyruszałeś na swoje pierwsze	d A d D7
te wymarzone, wyśnzione szlaki	g D g
Ludziom kroczyłeś ufnie naprzeciw,	A A7 d
nagle słyszałeś szydercze takie.	E E7 A A7

To ten wariat z garbem	d
od tego się nie umiera,	A7 d
To ten wariat z garbem,	D7
co turystycznie spędza czas,	D7 g
To ten wariat z garbem	A A7
który po drogach kurz wyciera,	A7d
To ten wariat z garbem,	E
który próbuje schwytać wiatr.	E7 A7 (A7 d)

Potem mijały lata, ty ciągle
Szukałeś marzeń na szarych drogach.
Struną dzwoniące, dymem przyćmione
Buty zmieniane na twoich nogach.
Nic nie mówiłeś widząc na niebie
Ptaków wędrownych tajemne znaki,
Potem wracałeś niby do siebie
I znów słyszałeś szydercze takie:

To ten wariat z garbem ...

Dzisiaj stateczny ojciec rodziny,
Samochód, żona, dzieci, M-4,
Brydż u znajomych i imieniny,
Spacer w niedzielę, trochę opery.

N.N.

Grzegorz Kaczmarek

Szperając w klubowych archiwach natrafiłem na bezcenne skarby skryte w niepozornym pudle stojącym na szafie w samym rogu naszej siedziby. Odnalazłem tu m. in. Informatory SKG czyli „przodka” naszego Biuletynu. Okazało się, że w publikowanym w latach osiemdziesiątych Informatorze znajdował się kącik poetycki. Wśród wielu utworów moją uwagę przykuł pewien wiersz bez tytułu. Został on zamieszczony w Informatorze z roku 1988.

Z podpisu wynika, że powstał dwa lata wcześniej w Ropkach koło Uścia Gorlickiego. Jego autor skrył się pod pseudonimem Świtowa co po huculsku oznacza wędrowca. Właściwie jedyne co udało mi się na jego temat ustalić to fakt, iż był związany z SKG co najmniej od roku 1984. Z pewnością był to zapalony turysta, wrażliwy na piękno przyrody krajoznawca-erudyta, stały bywalec

Beskidów.

Do Świtowana lubię zaglądać szczególnie gdy za oknem jest szaro i ponuro, a wokół kłębią się stada samochodów krążących wokół potworów ze stali i szkła. Oto kropla Świtowanego balsamu na dusze:

*Uciekam wciąż i na nowo
ku graniom, ku wierchołkom
w jary przepaścistych strumieni,
ku nieistniejącym wioskom.
Do nieba coraz bliżej, sinaworuda buczyno,
podaj swą dłoń, ożyw kształty swoje, stojąc
odwiecznie w skalistych stokach.*

/Ropki 1986/ Świtowan

P.S. W następnym numerze zamieszczę kolejny wiersz Świtowana ;-) ■

¹⁵festiwal piosenki studenckiej i turystycznej

Porta Rusica

Część Druga: Jak kamień w wodę

Grzegorz Kaczmarek

Zygmunt Druget spacerował po murach zamku Csicsóka obserwując swych poddanych pracujących na polach. Czuł się wyjątkowo dobrze, sierpniowe słońce przyjemnie ogrzewało jego stargane reumatyzmem stopy. Patrząc na błękitną wstęgę leniwie toczącej swe wody Ondavy i ciemnozielony Beskid radował się wieścią od swego agenta z Brünn. Donosił on o wyruszeniu odsieczy króla polskiego, mającej uratować zagrożony Wien. Oznaczało to komplikacje planów sułtana i szanse na usunięcie księcia Imre w przypadku niepowodzenia Porty. Sobieski to świetny wódz, wielokrotnie pokazał, na co go stać. Tak, on może przechylić szalę zwycięstwa, a wtedy...

Tyle lat czekałem na taką okazję, jeżeli ten król kuruców Thököly powróci na Górne Węgry, zgotuję mu gorące przywitanie. Niech tylko opuści Kasse, a już ja się postaram, żeby nie dojechał do Tóketerebes. Na przełęcz Dragó będzie go czekała niespodzianka, a jeśli Mroczek i jego ludzie zawiodą, posłużę się Rajnerem. Tak, to idealny człowiek do takiego zadania - jest skuteczny i nie ma żadnych skrupułów. Ze swojej eskapady za Porta Rusica powinien powrócić najpóźniej na świętego Stefana. Na myśl o powrocie swego sługi Druget uśmiechnął się pod wąsem wiedząc, że oznacza to kolejny przypływ gotówki ze spieniężonych łupów.

Henryk Rajner opuszczał Szinną, bazę wypadową Ali-Baby, jak nazywali Drugeta wrogowie z racji uprawianego przez niego procederu. Nie mógł już doczekać się wkroczenia do Ziemi Sanockiej. Mimo młodego wieku był doświadczonym „rycerzem kresowym”. Miał za sobą szereg wypraw na ejalety ujvarski i egriski. Co więcej przez kilka ostatnich lat jako zaufany Zygmunta Drugeta przemierzył wszystkie komitaty na wschód od Gór Zemplińskich. Załatwiał sprawy finansowe i nawiązywał kontakty. Potomek Filipa Drugeta, prawej ręki króla Karola Roberta, potrzebował zarówno ludzi od mokrej roboty, dyskretnych informatorów, jak i zręcznych finansistów. Snuł sieć intrygi, w którą niczym mucha w pajęczynę miał wpaść książę Imre Thököly. Ali-Baba liczył, że w powstałym po zamordowaniu księcia zamieszaniu zdoła uchwycić władzę na Górnych Węgrzech, następnie przekupi Wysoką Portę i na stałe zainstaluje się w Kassie, a w przyszłości stanie się panem Siedmiogrodu.

Było jednak coś, o czym nie wiedział, coś co mogło sprawić, że ten misterny plan rozlezie się jak stare gacie. Jego ulubieniec żywił do swego preceptora głęboko skrywaną nienawiść. Matjasz, bo tak naprawdę nazywał się Henryk Rajner, będąc jeszcze w pacholęcym wieku stracił rodziców. Zamordowali ich tołhaje czatujący na powracających z odpustu w Łopience pielgrzymów. Na własne oczy widział, jak bandyci wybili sługi jego rodzicieli, zgwałcili, a potem wrzucili do rzeki matkę, na co bezsilnie musiał patrzeć raniony w walce ojciec, którego na odchodnym zmasakrowali wekierami. Wszystko to wydarzyło się opodal Cisnej zaraz po pierwszej niedzieli października. Chłopiec ocalał tylko dlatego, że chwilę przed napadem puścił

się w pogoń za kuną, która umknęła w przydrożne krzaki, skąd później wszystko obserwował.

Bał się potwornie, ale nie poruszył się aż do chwili, gdy zbóje nie uszli na wschód. Odważył się ruszyć ze swej kryjówki w wiszarach dopiero po zmroku. Błąkał się potem po okolicznych górach i lasach, aż trafił do Krywego, gdzie przygarnęli go chłopci.

Nie można było się od niego niczego dowiedzieć, bo po traumatycznych przeżyciach zamknął się w sobie. Kiedy po kilku miesiącach znów zaczął mówić, zorientowano się, że jest Węgrem. Dopiero wtedy skojarzono fakt znalezienia na jesieni minionego roku ciała pielgrzymów zza Beskidu z zabłąkanym chłopcem. Starszyzna zebrana pod cerkwią uradziła, że należy czym prędzej powiadomić pana z Baligrodu. Podkomorzy Stefan Bal usłyszawszy o małym Madziarze nakazał sprowadzić go na baligrodzki zamek, gdzie Matyas dostał się pod jego skrzydła. Mimo prób odnalezienia krewnych malca nigdy nie udało się natrafić na ich ślad. Jedyną wskazówką co do jego pochodzenia był górnowiągierski akcent.

Chłopiec przez lata spędzone u podkomorzego nie zapomniał ojczywej mowy, bo w wieloetnicznym otoczeniu jego dobrodziejstwa nie brakowało żołnierzom i oficerom zza Karpat. Swoich rodaków spotykał także w trakcie corocznych pielgrzymek do Łopienki. Wśród pstrokatego, gwarnego tłumu nie mało było przybyszów z Ungvaru, Munkácsa, Nagymihály oraz innych węgierskich miast i miasteczek. Zaciszna Łopienka na kilka dni w roku stawała się bulgoczącym tygłem narodów, gdzie słyszało się łacinę, polski, niemiecki, jidysz i rusiński. Tu ubijano interesy, kłócono się o politykę, układano mariaże, pito na umór i podkradano towary. Mały Matyasz niecierpliwie oczekiwał wyprawy w to magiczne miejsce, gdzie czekały na niego łakocie, stosy zabawek i pokazy sztukmistrzów. Gdy wyrósł, zaczęły go interesować opowieści bywalców karczmy „Pod Mocnym Aniołem”, „tegie szable” oraz pilnowane przez czujne matrony panny.

Stefan Bal dołożył wszelkich starań by zapewnić mu należyte wychowanie i edukację. Gdy uznał, że wychowanek osiągnął odpowiedni wiek, wysłał go na nauki do Wiedni. Po powrocie miała na niego czekać pewna intratna posada w ziemi lwowskiej. Ślepy los sprawił, że losy młodzieńca potoczyły się jednak zupełnie inaczej.

Po ekscytującej podróży przez Małopolskę, Śląsk i Morawy na świętego Michała Matyasz zawitał nad Dunaj. Tutaj na wienneńskiej Alma Mater zaprzyjaźnił się z Janem Aspermontem, wesołym młodym szlachcicem z Ungvaru. Podczas krótkiego słodkiego zackiego żywota wyhasał się jak nigdy w życiu. Razem z Janem przeżyli nie jedną przygodę i splatali wiele figli. Może naddunajska sielanka potrwalałaby nieco dłużej i kto wie, czy nie zakończyłaby się uzyskaniem dyplomu magistra, bo w przeciwieństwie do Aspermonta jego kompan miał głowę do ksiąg i jak to ujął profesor Pfaltzgraff „rokował pewne nadzieje”.

Jednakże po kilku miesiącach wszystko to urwało się

niczmy koło powozu wpadł w głęboki dołek. Pewnego wieczora, gdy dwaj najwięksi psotnisie Wiednia mieli już nieźle w czubie, zaczęli wspominać swe domy. Aspermon-towi mocne węgierskie wino z Modor, serwowane w szynku „Tłusty Wieprzek” rozwiązało język tak dokumentnie, że zaczął szeroko rozwodzić się nad dobrodziejstwem swej rodziny Zygmuntem Drugetem. Matyasowi mało oczy z orbit nie wyszły, gdy usłyszał to nazwisko. Z podsłuchanej jeszcze w dzieciństwie rozmowy zorientował się, że człowiek ten odpowiadał za śmierć najbliższych mu osób i był sprawcą wielu innych napadów na północ od Beskidu. Nie raz słyszał jak „Pod Mocnym Aniołem” kupcy ze zgrozą wspominali o tym „ungwarskim demonie”. Początkowo w pijackim szale chciał natychmiast ruszyć na Górne Węgry i przy pierwszej lepszej okazji pchnąć arcyłotra sztyletem. Jednak gdy otrzeźwiał następnego dnia, zaniechał tego zamiaru i na chłodno zaczął obmyślać zemstę. W jego głowie zrodził się plan unicestwienia gniazda szerszeni oraz dopadnięcia i przykładowego ukarania Drugeta. Nie powiedział ani słowa Janowi, zresztą co miałby mu rzec...

Nie skreślił też ani słowa wyjaśnienia do swego przybranego ojca. By zrealizować swe zamiary, musiał przepaść jak kamień w wodę.

Pogoda była paskudna, hulał lodowaty wiatr, deszcz lał się strumieniami, dudniły echa potężnych piorunów, a po niebie przebiegały gigantyczne błyskawice odcinające się na tle ciemnych szczytów Karpat. Ludzie nie wychylali nosów ze swych domów. Miasteczkowe gryzonie pochowały się po norkach, a ich wężasi adwersarze powpełzywali do swych legowisk. Znajdywały się one w najrozmaitszych i czasem bardzo zaskakujących, między innymi dowódcę straży zamkowej podczas wizyty w wychodku, miejscach. Na uliczkach Nagytapolcsán nie można było uświadczyc nawet psa z kulawą nogą. Jedynymi stworzeniami, które w taką aurę wypuszczały się ze swych sadyb były ciekawskie gnomy, głównie żadna wrażeń młodzież przed setnym rokiem życia. Śmiałkowicie ci wazyli się opuścić podziemne królestwo Faldonu i buszować po zakamarkach świata ludzi ze względu na pustkę. W normalnych warunkach te małe nieufne istoty trzymały się z daleka od Falgornu, jak zwali krainę zamieszkałą przez czworonogi i ich właścicieli. Obserwowali ją z fagów, zamaskowanych strażnic mieszczących się w wydrążonych i zakonserwowanych pokostem drzewach skomunikowanych z siecią podziemnych chodników za pomocą korbowych wind oraz kotwionych żelaznych drabin. Te ostatnie stanowiły dodatkowy korytarz komunikacyjny, a w razie awarii, wypadku czy zagrożenia zewnętrznego pełniły rolę dróg ewakuacyjnych dla załóg złożonych z obsługi lunet kwarcowych, sygnalistów pełniących służbę przy lustrach krystalicznych i łączników przekazujących informacje do centrali.

Ostatnimi czasami gnomy prowadziły wzmożoną penetrację rejonu Nagytapolcsán, gdyż lada dzień miał się tu zjawic czarodziej Aldabir, z którym przyjaźniły się od dwustu lat. Miał przyprowadzić ze sobą jakiegoś tajemniczego gościa. Na życzenie maga zgromadziły i zabezpieczyły w królewskim skarbcu funt chalkantytu. Ten piękny niebieski minerał miał Aldabirowi posłużyć do znanego tylko władcy Faldonu Mirmonowi i jego radzie celu.

Do komitatu Nyitra mag przybywał w celu odprawie-

nia nekromantycznego rytuału oraz ukrócenia działalności ghuli, smakoszy trupów, których nie brak było na granicy posiadłości cesarza austriackiego i tureckiego. Ciągłe „podgryzanie się” Wiednia i Stambułu stworzyło tym demonicznym przybyszom z Bliskiego Wschodu idealne warunki egzystencji. Aby zachować naturalną równowagę w świecie sił nadprzyrodzonych, Aldabir musiał tych nieproszonych gości wyprosić z powrotem do Syrii. By tego dokonać potrzebował „wzmacniacza”, który nada jego zaklęciom odpowiednią siłę. Właśnie do tego potrzebny był mu Karl Rajner. Żywy Karl Rajner.

Na murach górskiej fortecy osłaniającej ustawicznie zagrożone od południa Nagytapolcsány, czuwały zziębnięte strażę. Przemokli do suchej nitki, jeden przez drugiego kichający, Juraj i Jozef kleli pod nosem. Wiedzieli, że do końca dnia nie mogą zejść z posterunku, bo komendant Béla Kray najmniejszy objaw niesubordynacji karał niezwykle surowo.

Kray jako doświadczony oficer zdawał sobie sprawę, że czasy były niepewne. Zwrócenie się sułtana przeciw Rzeczypospolitej nie gwarantuje spokoju w habsburskich posiadłościach. Liczyła się każda szabla, bo choć między Imperium Osmanów a Austrią panował obecnie pokój, to nieustająca mała wojna na pograniczu w każdej chwili mogła przeistoczyć się w większe starcie jak to się stało przed dziesięcioma laty...

W wielkiej kudłatej głowie tego wysokiego i potężnie zbudowanego samotnika wciąż kotłowały się wspomnienia z oblężenia Nyitry. Cudem wydostał się z tego piekła i dotarł do sił generała von Starhemberga. Padła twierdza za twierdzą, a wojska tureckie zapuściły się aż pod Olmütz. Choć w następnym roku wielki wezyr Köprülü został pobity pod Szentgotthárd gdzie Kray stracił rękę, nienasycony potwór znad Bosforu zagarnął całkiem spore terytorium, a na dodatek kazał sobie wypłacić reperacje wojenne.

Ponure rozmyślanie jednorękiego kapitana, nazywanego przez podwładnych Samotnym Odyńcem, przerwało ciche miażdżenie Ahmeda. Olbrzymi rudy kocur dopiero co się obudził i zaczął natarczywie domagać się jedzenia. Kray podrapał czworonoga za prawym uchem, wyciągnął z kieszeni mały szary woreczek ze spirką, przysmakiem małego bisurmana.

Po uczcie i popołudniowej toalecie Ahmed wskoczył na kolana swego pana. Zwinięty w kłębek mruczał z zadowolenia. Odprężając atmosferę sobotniego wieczoru przerwało nagle pukanie do wrót komnaty Kraya. Komendant energicznym ruchem zgonił mruczysława i przybrawszy postawę zasadniczą, donośnym głosem zawołał: Wejść!

- A psik, komendancie, melduję, że niejaki a psik, Rajner pragnie z wami mówić.

- Ciekawe kogo to lichy przyniosło w taką parszywą pogodę...

No dobrze, wprowadzić mi tego Apisk Rajnera!

Podkreślił czarnego jak smoła wosa i zaczął nerwowo stukać palcami po blacie dębowego stołu, który wraz z masywną szafą i parą krzeseł stanowiły cały wystrój pomieszczenia zwanego przezeń „jaskinią”. Wpatrując się w płomienie świec wciśniętych w miseczki misternie zdobionego srebrnego kandelabru przymknął oczy i najpewniej usnąłby, gdyby nie ponowne energiczne pukanie.

- Wejść!
- Witajcie panie - rzekł od wrót szczupły młodzieniec z bujną zmierzwioną czupryną - zwę się Henryk Rajner i pragnę zaciągnąć się na służbę w Nagytapolcsánach.

- Ho, ho, ho! A dlaczegoż to miałbym cię przyjąć? I to nie wiedząc ktoś zaczął!

- Jestem, a raczej byłem żakiem w Wien. Pewne okoliczności zmusiły mnie do opuszczenia tego miasta. Pragnę nauczyć się wojennego rzemiosła, a słyszałem że jesteście panie najodważniejszym i najbardziej doświadczonym rycerzem Królewskich Węgier.

- Ciekawe kto ci takich bzdur nagadał! Ale furda z tym! Nie dbam o to czy uszedłeś przed rozświeczonym ojczulkiem panienki, który przyłapał was na sianie czy mężu-siem rogaczem. Nie interesuje mnie również twoje prawdziwe imię i nazwisko. Obchodzi mnie tylko jedno – czy potrafisz władać bronią?

- Pewnie, że potrafię!

- Zaraz zobaczymy, na co cię stać młodzianku!

- Milan do mnie! - krzyknął Kray przez okno wychodzące na zamkowe podwórze. Po chwili zameldował się niski brodaty blondyn z włosami związanymi w harcap.

- To nowy, wiesz co masz robić!

Brodacz skinął na Matyasza, by poszedł za nim. Zeszli

dwie kondygnacje w dół do obszernej sali ćwiczeń, gdzie „nowy” i Milan otrzymali z rąk starego zbrojmistrza Mikłósa tępe szable i ochronne kaftany. Gdy po chwili zjawił się komendant, skrzyżowali ostrza. Już po pierwszych ruchach Matyas zorientował się, że ma doczynienia z wytrawnym fehmistrzem. Jednak lata szkoły w Rzeczypospolitej zrobiły swoje. Młodzieniec wytrzymał pierwszy napór przeciwnika, przeszedł do kontry i nawiązał z nim dłuższą walkę. W pewnej chwili wydawało się, że Milan padnie od zamachu z ramienia, ale ten zasłonił się, błyskawicznie przerzucił czechugę do lewej ręki i łukowym cięciem z nadgarstka uderzył adwersarza w bark.

Lokator „jaskini” bacznie obserwował starcie i jako stary wyga od razu zorientował się, że młodzian nie wahał jeszcze prochu, ale przez kilka ładnych lat uczył się fechtunku. Po ciosie Milana natychmiast nakazał przerwać walkę. Rzucił krótkie spojrzenie na preszburski zegar wahadłowy wiszący pośrodku bocznej ściany sali ćwiczeń. Walka trwała nieco ponad pół godziny. Nikt jeszcze nie wytrzymał tak długo!

Spostrzeżenie to zatrzymał jednak dla siebie i rzekł: Jak na żaczka oderwanego od książek całkiem nieźle, ale czeka cię jeszcze wiele pracy! Jutro zgłosisz się do Mikłósa po broń i odzież, a teraz proszę na wieczerzę! ■

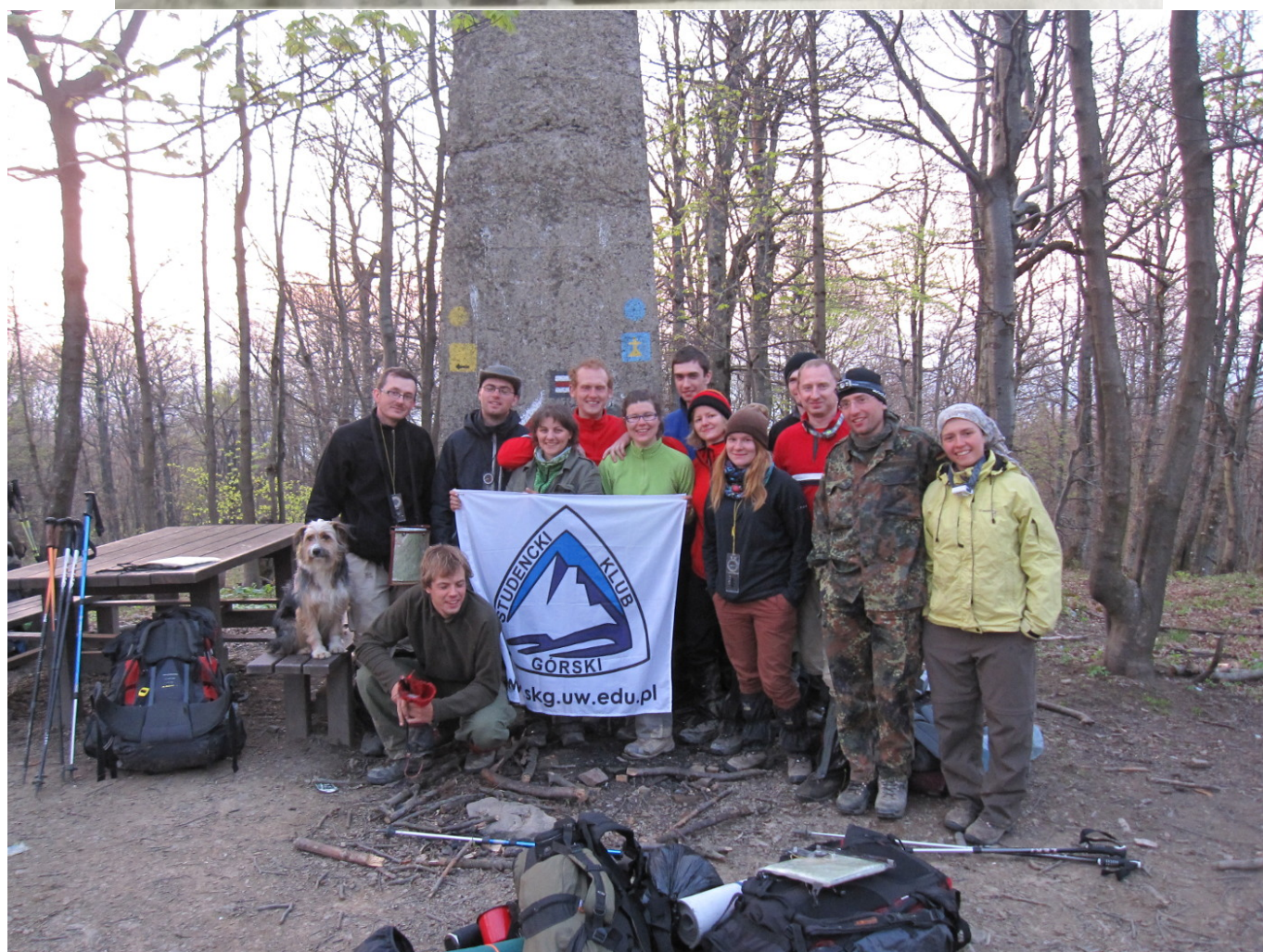
Akcja Lato - Reaktywacja

Nawiązując do chlubnej tradycji opisaney w artykule „Dziesięciolecie” (patrz str. 19) w nadchodzące gorące miesiące Klub zaprasza na otwarte wyjazdy rowerowe i górskie. Znajdą tu coś dla siebie starzy wyjadacze jak i osoby dopiero zaczynające przygodę z rowerem i górami. Z myślą o kontestatorach widoczków i fanach sztuki wypoczynku nasze letnie plany kształtują się następująco:

- 7-8 czerwca Działkówka w Brzozówce w Puszczy Kampinoskiej
- 14-15 czerwca *Mazurskie Tropy* - rowerowy rajd na orientację
- 14-15 czerwca Rowerówka *Śniardwy na Mazurach*
- 27-28 czerwca Rozkładanie bazy namiotowej Madejowe Łoże w Podwilku
- 28-29 czerwca Rowerówka *Kurpie*
- 5-6 lipca Rowerówka *Zagustuj w Podlasiu na zachodnim Podlasiu*

- 7-13 lipca Rajd samolotowo-namiotowy w Szwecji *Wśród skał, lasów i jezior - Sörmlandsleden*
- 11-13 lipca Rowerówka *Serce Podlasia czyli Żubry, Meczety i Tatarska Kuchnia*
- 19-20 lipca Rowerówka *Szumi Bug na południowym Podlasiu*
- 26-27 lipca Rowerówka *Polesia Czar na Polesiu Lubelskim*
- 9-10 sierpnia Rowerówka *Magiczne Roztocze*
- 23-24 sierpnia Rowerówka *Czy wieje w kieleckiem?*

Oprócz wymienionych wyjazdów na stronie internetowej będą się pojawiać informacje o kolejnych, m.in. w Beskid Niskii Pogórze Ondawskie, Skoruszyńskie Wierchy i Magurę Orawską oraz Góry Strażowskie i Małą Fatrę. Śledźcie nas na www.skg.uw.edu.pl, na forum oraz facebook'u! ■



Studia są fajne dlatego, że oprócz nauki ma się czas i na inne rzeczy. Więc nie zwlekaj - rozpocznij nowy rok akademicki z SKG! Przyjdź na spotkanie dotyczące XXXIV Kursu Przewodników Górskich w październiku. Do zobaczenia!